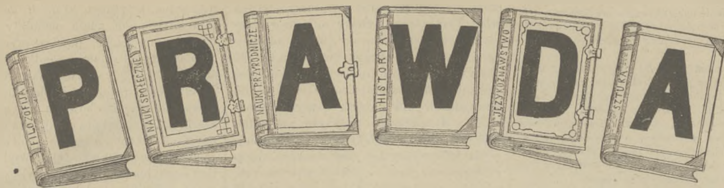
Nr 19. Warszawa, dnia 27 Kwietnia (9 Maja) 1896 r. Rok XVI.



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 kop. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Żórawia Nr. 34.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

ŚMIERĆ SZACHA.

W dniu 1 maja szach perski Nasr-ed-din padł z ręki morderczej w pobliżu Teheranu, w miejscu świętem Abdul-Afim. Zanim go dowieziono do stolicy, już nie żył. Wielki wezyr posłał natychmiast gońców do Tebrysu, stolicy Aserbedżanu, po nowego szacha. Domniemanym następcą tronu za życia Nasr-ed-dina był drugi syn jego, Mussafer-ed-din, i jemu też tymczasowy zarządca państwa tron oddać postanowił. Zmarły szach, gdy mu się ten syn urodził, odrazu przeznaczył go na władcę Persyi i w r. 1858 wyjednał na Rosyi i Anglii uznanie go za prawowitego dziedzica tronu. Wielki wezyr porządku tego nie zmącił.

To samo jest już wypadkiem pomyślnym. Inaczej bywało w tej Persyi, która od najazdu afgańskiego w r. 1722 nie znała zmiany panowania bez samozwańswa wezyrów, bez sporów, walk dynastycznych i wojen domowych. Zdaje się, że obecnie syn pierworodny, Massud Mirza, pozostawi bratu rządy państwa i uzna fakt wydziedziczenia, spełniony przez ojca, za nieodwołalny. Nie słychać było nigdy o pretensyach jego, zbrojnie, buntowniczo występujących za życia Nasr-ed-dina; człowiek to już starszy, ma lat 46. dojrzewał już bez świadomości lepszych jakichś praw swoich: może i teraz nie obudzi się w nim namiętność władzy, w despotyzmie wschodnim tak łatwo wybuchająca.

Świeże potwierdzenie aktu uznania z r. 1858, o którem urzędownie donoszą z Teheranu. wzmacnia rękojmię spokoju. Musafer-ed-din już nietylko osiądzie na tronie, ale będzie i rzeczywiście panował, jeżeli tylko między mocarstwami poręczającemi dotychczasowa zgoda się utrzyma. Od nich więcej, niż od samej dynastyi i samego nawet narodu perskiego zależy. Z chwilą zawarcia traktatu w Turkmanczai (1828) Persya utraciła już wszelką rozprężliwość ku zachodowi, od r. 1857, w którym Nasr-ed-din ustąpił przed Anglią i zrzekł się Heratu, państwo utraciło energię polityczną od strony wschodniej. Dynastya turkmeńska Kadżarów, panująca w Persyi od r. 1794, przyprawiła ją o wielkie straty terytoryalne i politycznie ją ubezwładniła. Persya jest dziś bierną masą pomiędzy Rosyą a Anglią.

Bierność ta wyciska piętno swoje i na bycie wewnętrznym. Gnuśne nurzanie się w tradycyi, podtrzymywanej głównie przez szyicką prawowierność, zastępuje Persom właściwie życie, ruch, postęp. Despotyzm wschodni sprzymierza się z Koranem. z obyczajami Islamu, ze wstrętem do wiedzy, z upośledzeniem kobiety— aby uwiecznić odrętwienie społeczne i zarówno umysłowy, jak ekonomiczny stan narodu trzymać na opłakanym padole. Prastary Iran ze słonecznymi promieniami Zend-Awesty; potęga, ład i rozum polityczny Daryusza I; szlachetne rwanie się Ardeszyra do odrodzenia duchowego po zmartwychwstaniu politycznem; świetne przebłyski za Chozroesów: wszystko to wpadło w paszczę Islamizmu, wraz z podbojem w wieku VII wprowadzonego przez Arabów.

Sześć wieków panowania arabskiego, przerywanego często przez najazdy ludów stepowych, ugryjskich i turkmeńskich — przeistoczyło narodowość perską, tak, iż prócz języka, wysoko w hierarchii aryjskich stojącego, i poezyi pięknie rozwiniętej. w społecznym i umysłowym jej bycie nic zgoła nie ukazuje różnicy od milionowych gromad turańskich, zorganizowanych niby w państwa. a właściwie żyjących jeszcze w stanie osiadłego koczownictwa. Przewroty XIV i XV w., wprowadzając mnóstwo obcych żywiołów, pogorszyły jeszcze złe. Od początku XVI w. do podboju afgańskiego, w wolnym już niby narodzie, ciągłe wichrzenia dynastyczne tamowały rozwój, a dalsze dzieje są jednem pasmem rzezi i okropności. Kadżarowie wnieśli jakiś ład i stałość, ale złudzenie Fet-Alego, że może się jeszcze pobawić w wielkiego mocarza — osłabiając Persyę na zewnątrz, nie pozwoliło jej i wewnątrz podnieść się i wzmocnić.

Nasr-ed-din, wstąpiwszy na tron w r. 1848, wielkie obudził nadzieje. W Europie zaczęto się już obawiać, aby odrodzona Persya nie stała się silną, a przy sile i samodzielną. Młody szach rychło te nadzieje i te obawy rozwiał. Wielki jego wezyr, Mirza Tagi chan (Amir Nizam), istotny już twórca reform, człowiek niepospolitego umysłu, po trzech latach doczekał się z woli pana swego nagrody — w sznurze, którym go uduszono. Potem już niby sam szach reformował Persyę, zaczynając od wojskowości i medycyny; ale właściwie tylko bawił się w cywilizacyę europejską. Takiem starem dzieckiem widziała go u siebie Europa trzy razy: w 1873, 1878 i 1889. Jeżeli syn nie odrodził się od ojca — to Musaffer-ed-din, człowiek dziś 43-letni, niewiele zrobi dla swej ojczyzny, aby ją od skonu politycznego ochronić.

Tydzień polityczny. P. Meline wytworzył p. Faure'owi gabinet z następujących ludzi Meline — rolnictwo, Barthou — spr. wewn., Hanotaux — spr. zagr., Cochery — skarb, gen. Billot — wojna. adm. Besnard — marynarka, Rambaud — oświata, Darlan — sprawiedliwość, Turrel — rob. publ., Boucher — handel, Lebon — kolonie. Data formacyi 29 kwietnia.

Nowi ministrowie otrzymali od Izby deput. uchwałę ufności 299 gł. przeciw 256. W większości było i 75 gł. monarch., w mniejszości—56 gł. socyalistycznych; republikanie rozpadli się na 244 *za* i 200 *przeciw*. W senacie 214 gł poparło rząd. Deklaracya ga-

binetu składa się z ogólników i z zapowiedzi reformy podatków, wraz z podatkiem dochodowym, oraz praw robotniczych. W obu izbach wytworzyli szczerzy republikanie ligę głosowania powszechnego. Odbywające się wybory municypalne w kraju uwolniły p. Meline'a od Izby deput.; zbierze się ona dopiero d. 28 maja.

Ks. Ferdynand z Paryża przyjechał 30 z. m. do Berlina; stanął w pałacu królewskim. Cesarz kazał go nazywać „królewską wysokością.“ Książę wraca na Białogród. D. 4 b. m. był w Koburgu.

W Berlinie zanosiło się już na przesilenie. Cesarz nie chce zmian radykalnych w procedurze wojskowej; Hohenlohe i Bronsart za nimi obstają; stanął jakiś kompromis. Sejm niemiecki uchwalił w tych czasach rezolucyę przeciw pojedynkom.

W Wiedniu uważają reformę wyborczą za ukończoną: głosowanie ostateczne będzie tylko formalnością. P. Badeni przystępuje teraz do podwyższenia pensyi urzędnikom z zaprojektowanego przyrostu opłat od wódki i piwa. Rada miejska wybrała już na prezydenta Strobacha, a na pierwszego wiceprezesa Luegera — według woli rządu.

Cesarz Fr. Józef otworzył d. 2 maja wystawę przemysłową w Peszcie. W Zagrzebiu, Białogrodzie i Bukareszcie demonstrowano przeciwko Węgrom i ich tysiącoleciu. W Białogrodzie były awantury poważne. Poseł austryacki zażądał wyjaśnień i zadośćuczynienia. Minister Novaković dał je odrazu. Posła, nawet konsula serbskiego na otwarciu nie było.

Włosi trzema kolumnami zbliżali się po 1 maja do Adigratu. Odsiecz pewna.

D. 1 maja były w Praterze wiedeńskim rozruchy bardzo poważne.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

WYBORY.

Co parę lat ziemianie w całym kraju naszym święcą wybory do dyrekcyj szczegółowych Towarzystwa kredytowego ziemskiego. Same przez się mają one doniosłe znaczenie, dają bowiem pewnego rodzaju emocyę ogółowi stowarzyszonych, ujawniają niezadowolenie z tego lub owego radcy, który nie zupełnie odpowiedział pokładanym nadziejom. Interesowani szukają tedy śród siebie jednostek dzielniejszych, biorą na szalę sumę ich zdolności i cnót obywatelskich, ważą je skrupulatnie acz pośpiesznie; dla dobra wspólnego podają nowych kandydatów, pełnomocników swych spraw pilnych i ważnych.

Zdawałoby się, że wobec tego wszyscy stowarzyszeni powinni pośpieszyć na ten wiec. Tymczasem wybory, odbyte w ubiegłym miesiącu, wykazały wręcz odmienne zjawisko. W okręgu kieleckim na 433 obywateli gubernii, uprawnionych do głosowania, 280 miało prawo zaliczyć się do kandydatów dla objęcia różnych stanowisk w dyrekcyach, przybyło zaś tylko 115. W okręgu łomżyńskim, najmniejszym, który liczy 252 uczestników, mających prawo głosu, a 195 wybieralnych, przybyło zaledwie 80. W lubelskim na 1.148 stowarzyszonych przyjechało tylko 153.

Ale nietylko stowarzyszeni, lecz nawet prezesowie (jak w okręgu łomżyńskim) na wybory nie przybywają. Ci wszakże mają na usprawiedliwienie choroby własne lub swoich blizkich. Jaka atoli przyczyna wpłynęła na to, że w okręgu lubelskim, pomimo tak ważnej chwili, pozostało w domu aż 995, w łomżyńskim 172, w kieleckim 318? Fakt ten, tak bardzo znamienny, można tylko wytłomaczyć brakiem odczucia potrzeb własnych, ześlimaczeniem większości ziemian. Sekcya rolna posiada ludzi najdzielniejszych w kraju; inaczej zresztą być nie może, bo najdzielniejsi zawsze czują potrzebę działalności społecznej dla dobra innych. Najruchliwszy tedy żywioł ziemiański skupił się w tem małem ognisku, tak małem, że nie potrafiło ono rozgrzać jeszcze poczucia spójni społeczno-ekonomicznej śród ogółu, nie potrafiło swych promieni pracy zsolidaryzowanej rozsiać po całym kraju. Zowej gromadki 200 na posiedzenia przyjeżdża zwykle kilkudziesięciu, nowi zaś członkowie dają tak małą garstkę, że prawie jej nie znać.

Szukając przyczyn dla usprawiedliwienia tego faktu, widzieliśmy zawsze najprawdopodobniejsze dwie: brak prawdziwie żywotnych spraw, poruszanych w łonie sekcyi i dla wielu może stosunkowo znaczna odległość, a z nią związany koszt podróży. Ale sprawy sekcyi są skupione w Warszawie i wychodzą na porządek dzienny co miesiąc, gdy wybory do dyrekcyj szczegółowych odbywają się co parę lat i to w kilku ważniejszych punktach Królestwa Polskiego. Żadną więc ważną przyczyną nie można usprawiedliwić nieobecności tak znacznej liczby stowarzyszonych, nawet zaufaniem do sterników ich instytucyi, których może swojem milczeniem zdala chcieliby utwierdzić w urzędach, powierzonych przed dwoma laty. Takiemi pobudkami rządzić się nie mogli, gdyż, jak widać, nie znają dostatecznie uzdolnień i działalności tych kierowników. Kto bowiem z po za swego zaścianka nie zagląda dalej, niż do sąsiada, nie rozprawia o niczem, jeno o urodzajach lub klęskach własnej niewielkiej okolicy i przyjeżdża do miasta tylko na kiermasze lub dla poszukiwania pożyczki, ten nie może wyrobić sobie jasnego, bezstronnego sądu o działalności i charakterze jednostek, którym biernie lub ślepo swoje sprawy powierzył.

Ci, którzy przybyli na obrady, zapewne stanowią żywioł krytyczniejszy i bardziej uświadomiony. We wszystkich pięciu miastach (Kaliszu, Kielcach, Lublinie, Łomży i Piotrkowie) pewna grupa popierała nowych kandydatów, większość atoli przegłosowała ich i pozostawiła na stanowisku gospodarzów dyrekcyi tych samych, którym powierzono te obowiązki przed dwoma laty. Czy wszyscy oni odpowiadają przyjętemu zadaniu, w to nie będziemy i nie możemy wnikać. Dodamy tylko, że są to przeważnie ludzie pożyteczni bądź ze względu na swoje stosunki, bądź zdolności osobiste i przymioty charakteru. Spotykamy tam właśnie ludzi tych, którzy swoją obywatelską ruchliwością niejedną ważną sprawę przeprowadzili i w czyn wcielili za pośrednictwem sekcyi rolnej. W okręgu lubelskim na radcę komitetu wybrano ponownie dr. Tadeusza Kowalskiego, którego światły pogląd na sprawy ziemiańskie i pożyteczna w tej mierze działalność znana jest w całym kraju. Na radcę dyrekcyi głównej zamiast p. Leona Przanowskiego, ruchliwego ziemianina, powołano p. Wacława Świeżawskiego, którego, zdaje się, wyborcy dobrze i słusznie ocenili. W okręgu łomżyńskim wybrany ponownie na radcę komitetu p. Zygmunt Gloger, którego działalność pożyteczną również zna kraj cały. Na radcę dyrekcyi głównej, także ponownie, p. Artur Szczuka, który pozostaje na tem stanowisku już od r. 1874. W okręgu kieleckim margrabia Zygmunt Wielopolski na-

Z POEZYJ PROZĄ.

przez

Włodzimierza Bugla.

2) Dziś.

Słyszałem dziś czarodziejską pieśń, cichą jak skarga dziecinny, dźwięczną niby gra arfy Eola. Szedłem brzegiem morza; po jednej stronie zielone podniosłości nadmorskie, po drugiej, opodal, fale oceanu rozpłakane, łkające. Mewy jęczały, mój wzrok ślizgał się po dali rozległej, to po konchach muszli potwornych lub dźwięcznych, które trącałem; i szedłem.

I pieśń brzmiała nad uchem, jak muzyka niebiańska i zlewała spokój w moją duszę, duszę wstrząsaną, gładziła nerwy moje, te nerwy rozkołysane. Pieściła mię jak matka pieści dziecinkę z różową twarzyczką, dziecinkę z złotymi włoskami, która oczki szeroko otwiera i na matusię patrzy, a w jej źrenicach już sen gniazdko wije.

— „Dlaczego rwiesz się do życia—dźwięczała — czemu śpieszysz ku niemu, jak ku krzakowi róż rozkwitłych, wonnych, wspaniałych? Czemu ręce ku niemu wyciągasz, niby ku obłokom, ozłacanym przez słońce poranku, których brzegi dzierzgają złote promienie. Czemu wabi cię ono, jak ptaka koralowe owoce egzotycznego drzewa?

Posłuchaj, owe róże, to róże Morza Martwego, które w popiół się rozsypią, gdy je do ust przyciśniesz; za owemi chmurami zasadzka się gotuje na łany zielone, na sady ciężkie od zawiązków plonu. zasadzka gradu. A ten owoc rumiany ma truciznę w sobie tak silną, że szczygiełek, skosztowawszy jej, tylko skrzydełkami kilka razy potrząśnie i bez życia pada. Posłuchaj. Ty chcesz, jak po jeziorze, którego woda błękitniejsza od niebios sklepienia, szybować po powierzchni życia, jak jaskółka chcesz przecinać jego podstropne przestrzenie. O, łudzisz się, tam w oddali wir porwie cię i na dno powlecze, w powietrzu jaskółkę jastrząb ściga, łudzisz się.

Gdy będziesz w życiu na pozór najszczęśliwszy, gdy będziesz spał otulony śnieżnemi ramionami marzeń, przez okno otwarte, przez szczelinę drzwi upiór wleci i krew zacznie pić z ciebie całą szerokością swego pyska, odrażliwszego, niż wilczy i rano pozostawi cię białego na łożu, białego, jak kawał płótna, zimnego, jak głaz na dnie rzeki.

Czy słyszysz skąd ja przemawiam, czy mógłbyś wskazać miejsce, z którego głos mój dolatuje? Stamtąd, z tych fal burzliwych, z fal, co wznoszą ramiona, spuszczają je, otwierają, tłoczą się nawzajem. Sądzisz, że płaczą i kwilą, nie, one śmieją się i chichocą. Wesoło, wesoło, wesoło. Im dobrze, po ich grzbietach smutek nigdy

dal pozostał radcą komitetu; do Dyrekcyi Głównej powołano p. Eustachego Dobieckiego.

Jak mają spełniać przyjęte obowiązki i pojmować swoje zadanie wszyscy pracownicy machineryi, służącej sprawom rolnictwa: Towarzystwa kredytowego ziemskiego z jego rozgałęzieniami — wyrazili poniekąd stowarzyszeni okręgu lubelskiego. Zażądali oni wprowadzenia do ustawy artykułu, zabraniającego wszystkim bez wyjątku urzędnikom zajmowania jednocześnie urzędów zarówno płatnych, jak i honorowych w innych instytucyach: bankowych, kredytowych, asekuracyjnych itd., z wyjątkiem dobroczynnych, tudzież zakładów przemysłowych. Żądania te są uzasadnione, pomimo, że jednostki energiczne zapewniają, iż mogą sumiennie naraz podołać kilku zadaniom. Być może, ale dla tych bardzo niewielu wyjątków nie podobna uświęcać zasady. Wiemy także, że liczne kółka dość skomplikowanej machineryi — Towarzystwa, nie zawsze są dopasowane należycie, nie zawsze działają sprawnie i zgodnie. Na to nieraz odzywały się skargi ziemian stowarzyszonych. Ale śród licznych głosów słusznych trzeba odróżnić fałszywe, a nawet żebrzące. Ta znamienna żebranina ujawniła się i podczas obecnych wyborów. Ziemianie obarczeni długami zażądali dla siebie ulg, wkraczających w dziedzinę dobroczynności, nie objętej ustawą Towarzystwa. Jest to więc ów charakterystyczny jęk pewnej grupy niezaradnych i niedołężnych, nie mogących liczyć na własne wyczerpane lub zamkłe siły. Obok tego były głosy, domagające się pomocy racyonalnej na właściwym gruncie reform i ulg ekonomicznych. Zwrócono uwagę na potrzebę hypotecznego wyłączenia fabryk, szczególnie gorzelni i rektyfikacyi, ze składu dóbr; dalej na konieczność racyonalniejszej skali taryfy szacunkowej, gdyż nie wszędzie warunki kulturalne i komunikacyjne są jednakowe. Ze spraw ogólniejszych podano projekt urządzenia podczas wyborów wystaw inwentarza, narzędzi rolniczych i nasion, na wzór takiej wystawy, otwartej przed dwoma laty w Kaliszu.

Wszystko to są wszakże drobiazgi, wypływające pojedyncze jak oczka tłuste na wodzie w garnku. Woda ta w chwili agitacyi wyborczej nieraz kipi i wybiega po za brzegi, ale nie posiada w sobie żadnych produktów, prawdziwie pożytecznych dla organizmu ziemiańskiego. A przecież śród rolników stowarzyszonych widzimy dużo ludzi rozumnych i światłych. Ich zatem obowiązkiem moralnym powinno być po za agitacyą wyborczą formułowanie ogólnych potrzeb rolnictwa zawczasu i przychodzenie na owe wybory z pewnym planem. Na takim wiecu łatwiej odczuć jasno wszelkie potrzeby, łatwiej się porozumieć i zebrać niezbędne dane z całego kraju, ażeby wytworzyć obraz warunków z należytą plastyką, zbudować dostrzegalnię dla dokładnego śledzenia bytu różnych warstw społecznych, których matka-ziemia żywi materyalnie i daje im siły duchowe.

ROLA KOBIETY FACHOWEJ.

II.

Kobieta na Zachodzie zajęła w pedagogii wybitne i przeważające stanowisko. W Anglii np. liczba nauczycielek ciągle wzrasta, o czem świadczą dane statystyczne: r. 1890—91 ogółem mężczyzn nauczycieli było 31,018, kobiet 74.125, czyli pierwszych 29,5%, drugich 70,5%. To samo zjawisko daje się spostrzegać w Szkocyi. Było tam również w tym okresie nauczycieli 4,893, nauczycielek 8,599, tj. pierwszych 36,5%, drugich 63,7%. W Irlandyi trochę więcej niż połowa z ogólnej liczby nauczycieli przypada na kobiety. W Niderlandach od lat trzydziestu stopniowo wzrasta liczba kobiet, oddanych pedagogii (r. 1858 stanowiły 16,1% liczby ogólnej, r. 1889 — 26%). W Belgii na ogólną liczbę nauczycieli szkół komunalnych 29% stanowią mężczyźni, 71% kobiety. W Norwegii, jakkolwiek nauczycielki dają tylko 9,7% ogółu wychowawców, liczba wszakże kobiet na tem polu wzrosła w dwójnasób w ciągu lat ośmiu. W Szwecyi nauczycielki już przewyższają liczebnie nauczycieli. W Szwajcaryi, chociaż kobiet, oddanych tej gałęzi pracy, jest mniej, niż mężczyzn, wszelako liczba pierwszych ciągle wzrasta, gdy drugich upada. We Francyi dziś już znacznie jest więcej nauczycielek, niż nauczycieli. W Austryi i Niemczech dopiero w ostatnich czasach kobieta zaczyna sobie wywalczać jakie takie prawa w zakresie własnego wykształcenia i pracy na polu pedagogicznem.

W Rosyi od wielu już lat dane statystyczne z zakresu szkolnictwa nie są ogłaszane i skutkiem tego niepodobna pewnych wniosków wysnuć. To tylko nadmienić możemy, że zarówno w społeczeństwie, jak i u steru oświaty, daje się spostrzegać bardzo przyjazne usposobienie dla pracy niewieściej na polu pedagogicznem, a nawet, jak wykazały zjazdy profesyonalistów, przedstawiono sformułowane i stanowcze żądania w tej mierze; wreszcie i fakty z życia przemawiają na korzyść tego zjawiska. Wiadomo np., że szkołę początkową kobieta, jako kierowniczka, zagarnia coraz bardziej. Przyszłość pracownicy, zadanie i warunki działalności na tem polu wybornie przedstawia w przybliżonym obrazie cyfrowym p. Strannolubskij (*Obrazowanie*; marzec, 1896): Jeżeliby w całem państwie rosyjskiem wprowadzono obowiązkowe nauczanie wszelkiej dziatwy, przynajmniej od 8 do 11 roku życia, należałoby zorganizować olbrzymią ilość szkół i ogromną armię nauczycielską. Przy najumiarkowańszem obliczeniu, wobec 120 mil. ludności (bez Finlandyi) potrzeba około 200,000 nauczycieli dla szkół początkowych. Przypuszczając, że ta kategorya pracowników według wieku przedstawia grupę ludności od 20 do 50 lat, wnosząc dalej, że zmniejszenie liczebne tego personelu będzie pochodziło z dwu przyczyn: śmierci i przekroczenia nakreślonej granicy wieku: lat 50; biorąc bardzo umiarkowany procent śmiertelności: 15 na 1000 (ogólna przeciętna norma w całem państwie: 32 na 1000); przypuszczając w końcu, że przyrost dzieci będzie równomierny a nie postępowy— jak to jest w rzeczywistości — i wreszcie biorąc na uwagę, że okres wieku szkolnego pozostanie na poziome owego minimum 8—11 lat, znajdziemy, że co rok dla zapełnienia szczerby potrzeba będzie dostarczać po 7,000 personelu nauczycielskiego. Dodajmy, że to jest cyfra możliwie najmniejsza; w rzeczywistości musi ona być znacznie większa, tem bardziej, że nie bierze się tu w rachubę wielkiej liczby nauczycieli dla dzieci, uczących się po 11-ym roku życia w szkołach miejskich, powiatowych, przytułkach, różnych szkołach fachowych, progimnazyach, niższych klasach gimnazyalnych itd.

Jakież są środki dla corocznego wytwarzania takiej masy sił pedagogicznych? Jak wiadomo, wszędzie w świecie cywilizowanym szkoły normalne dla wytworzenia nauczycieli i nauczycielek są nieodłączną częścią organizacyi pedagogicznej. Francya w każdym ze swych departamentów posiada po dwie takie szkoły: jedną dla mężczyzn, drugą dla kobiet. Nie licząc tedy wyższych normalnych, kraj ten ma 88 szkół męzkich i 86 żeńskich

---

nie pełzał, ich zawartości nie zaprawił jad żalu, im dobrze.

Nie zgadnąłbyś dlaczego rzuciwszy czoło pod niebo, spuszczają je potem w głębie, jak gdyby bezdenne. Bo tam oblewają wyspy szczęśliwe, na których wiecznie kwiaty kwitną, ptaki śpiewają, słońce nie razi. Każda fala tęskni do odwiedzin tych wysp i każda opuszcza się, opuszcza ku nim, lecz druga już ją goni, usuwa, ciska w górę. Ale żadna nie ma żalu do drugiej.

O, gdybyś wiedział, jak tam błogo, jak mile. Tam nic serca toczyć ci nie będzie, żadna myśl czarna żelazną przepaską czoła ci nie zgniecie. Tam jeden cień nie padnie na twe oblicze, nawet tak mały, jak ziarenko gorczycy.

Na tej wyspie ja zawsze śpiewam, bogini szczęścia, spokoju i śmierci. Nie drgnąłeś na ostatnie słowo, to dobrze. Więc doznałeś tego, przed czem cię ostrzegałam, więc wierzysz moim słowom. Tak, ja bogini śmierci, zgonu, nieistnienia. Czyż nieistnienia? Kiedy zechcesz podążyć ku mojej ziemi, kiedy zgasisz w sobie tę pochodnię piekielną, która pali tylko i rani, a którą wszyscy zwą życiem, moje służebnice fale morskie wezmą cię w objęcia i na składniki rozłożą i każdą jedną kroplę twej istoty wypiją i w każdą z nich wejdziesz, i w każdej będziesz ty. Razem z niemi opuszczać się będziesz ku wyspie szczęścia, razem z niemi zalewać brzegi oporne, dyszeć na słońcu i promienieć. Więc sądzisz, że stracisz życie? O nie, żyć będziesz, i jeszcze szerzej, przestronniej, rozleglej, żyć nie bytem ciasnym człowieka, ale wolnym wszechświata.

Będziesz wszystko czuł, wszystkiego doznawał, co miłe i cierpień nie przysparza. A mój głos nad tobą zawsze brzmieć będzie cichy, spokojny, słodki, głos szczęścia, nicości i śmierci."

Dziś czarodziejską pieśń słyszałem, cichą, jak skarga dzieciny, dźwięczną, niby gra arfy Eola. Szedłem brzegiem, brzegiem morza, po jednej ręce zielone podniosłości nadmorskie, po drugiej opodal fale oceanu rozśpiewane, tryumfujące. Mewy chichotały, mój wzrok ślizgał się po dali rozległej, to po konchach muszli potwornych lub dźwięcznych, które trącałem; i szedłem.

Ale kroki me kierowały się na ukos ku morzu i dźwiękom pieśni. I najpierw stopy umoczyłem, potem nogi, potem fale jęły wyżej i wyżej podnosić się. Całowały mię i tuliły, a mą piersią wstrząsnęło łkanie, że tyle wycierpiałem, nie wiedząc jako lepszą dolę mogę znaleźć. Lecz łkanie wnet umilkło i rozkosz wypełniła wszystkie tętnice, oblała mózg, niewymowne szczęście ogarnęło mię całego. Fale całowały mię w oczy. Rozwarłem je szeroko i zwiększone źrenice zaczęły chwytać je pierwsze zarysy rajskiej wyspy Nicości i Śmierci.

z 7,491 przysposabiających się do zawodu nauczycielskiego, co daje 1 kandydata na na 5,112 ludności. W Stanach Zjednoczonych przypada jeden wychowaniec takich szkół na 1,890 ludności.

Według danych urzędowych, w 50 guberniach Cesarstwa i w Królestwie Polskiem liczba instytutów nauczycielskich tudzież seminaryów męzkich i żeńskich wraz z uczącą się w nich młodzieżą była następująca: r. 1880 zakładów męzkich 76 i 5,033 wychowańców, żeńskich 9 i 1,040 wychowanek; r. 1894 pierwszych 58 i 3,987 wychowańców, drugich 9 i 918 wychowanicami. Widzimy zatem, że w ciągu lat 13 liczba zakładów i uczącej się w nich młodzieży znacznie spadła. Szczególnie zaś zadziwiająco mała jest liczba zakładów żeńskich i specyalistek w nich kształconych. Jeżeli wykluczymy kursy pedagogiczne Towarzystwa froeblowskiego w Petersburgu, tudzież kursy pedagogiczne moskiewskiego Towarzystwa wychowawczyń i nauczycielek, wytwarzających specyalistki wyłącznie dla gimnazyów i ogródków Froebla, 9 instytutów nauczycielskich, z których nikt prawie nie idzie na kierowników szkół ludowych, wreszcie kursy pedagogiczne gimnazyów petersburskich żeńskich — otrzymamy tylko 1,000 osób właściwego personelu nauczycielskiego, patentowanego co rok w zakładach naukowych, tj. sumę siedem razy mniejszą od owej minimalnej, której wymaga prawidłowa organizacya oświaty elementarnej. Prawda, że nietylko z seminaryów wychodzą nauczyciele szkół ludowych; ale i te inne źródła nie są jeszcze wystarczające. Wszystkie średnie zakłady naukowe w całej Rosyi, licząc w to i specyalne pedagogiczne, miały r. 1886 ogółem 241,000 uczniów obojej płci. Ale z tej armii tworzą się szeregi specyalistów wszelkich możliwych dziedzin, a nadto znaczna liczba idzie do wyższych zakładów naukowych, wreszcie wielką ich masę pochłaniają przeróżne kancelarye. Dodajmy w końcu, że skutkiem długiego okresu nauki w licznych zakładach stosunkowo niewielki procent wychodzi co rok z patentami. Pedagogia elementarna wymaga zatem osobnej i to znacznej armii nauczycielskiej.

Zobaczmy jaka istnieje metoda jej przysposabiania. O ile zakłady męzkie, wytwarzające nauczycieli, posiadają pewien system, o tyle żeńskie są dziełem przypadkowem, dorywczem i nie zawsze celowem. Na zjazdach profesyonalistów wyraźnie zaznaczono te braki i obecną organizacyę kształcenia kobiet nazwano parodyą. Szkoły istniejące różnych typów nie dają odpowiedniego zasobu umysłowego, niezbędnego dla nauczycieli różnych kategoryj, nie dają również sumy wiedzy fachowej, potrzebnej dla produkcyjnego zastosowania w życiu praktycznem. To też jednogłośnie zażądano rozszerzenia sfery wykształcenia zawodowego kobiet.

Niedawno członkowie parlamentu angielskiego otrzymali sprawozdanie statystyczne, dotyczące różnych zawodów według spisu z lat 1871, 1881 i 1891. Są tam ciekawe dane z zakresu pracy kobiet: R. 1871 nie było w całej Anglii jeszcze ani jednej lekarki, w r. 1881 było ich 25, a w 1891 liczba ich urosła do 101. W tym samym roku (1891) pojawiły się specyalistki z zakresu weterynaryi i architektury. Liczba artystek z dziedziny sztuk plastycznych w ciągu dwudziestolecia podwoiła się i dziś już Anglia liczy 3,030 malarek, rzeźbiarek i rytowniczek. R. 1871 około 5,000 kobiet zajmowało różne stanowiska administracyjne; w r. 1891 liczba tej kategoryi wzrosła do 8,546.

W obrębie państwa rosyjskiego nie ma statystyki tego rodzaju; istnieją tylko dane dorywcze, przypadkowe. Z informacyj np., dotyczących wychowanic wyższych kursów żeńskich w Petersburgu widzimy, iż w ciągu dziesięciolecia (1879—1889) większość poświęciła się pracy pedagogicznej: (79,6%), następnie drugie miejsce zajmuje medycyna (6,9%), dalej wszelkie profesye „wyzwolone,“ rolnictwo, służba biurowa, kolejowa itd. Z okresu późniejszego dane są jeszcze mniej dokładne, ale zasługuje na uwagę jeden szczegół charakterystyczny: dzięki poważnemu traktowaniu chemii na wydziale fizyczno-matematycznym, owa gałąź wiedzy dała niektórym uczenicom możność wyspecyalizowania się w pewnych gałęziach technologii chemicznej i poświęcenia się pracy praktycznej w tym zakresie.

Kursy wyższe, pomimo swoich usterek, mają doniosłe znaczenie, ale jednocześnie służą tylko dla małej drobiny łaknących wiedzy.

Miesięcznik *Obrazowanie* zwrócił niedawno uwagę na niewłaściwe zogniskowanie wyższej wiedzy fachowej dla kobiet w Petersburgu. Dla mieszkańców państwa, którego długość wynosi przeszło 10,000 wiorst, a szerokość 4,500, jest to zanadto uciążliwe. Do stolicy przyjeżdżają kandydatki z najdalszych krańców wschodnich, zachodnich i południowych, narażają się na koszt olbrzymi i stratę zdrowia w klimacie surowym, do którego organizm ich nie jest przystosowany. Według wykazu „Kursów żeńskich,“ kobiety przybyły na nie z różnych miejscowości na przestrzeni od Archangielska do Taszkentu i Tyflisu, od Irkucka i Krasnojarska do Warszawy i Helsingforsu, ogółem z 50 miast. Długoletnie doświadczenie dowiodło, że słuchaczki prowincyonalne, szczególnie ze stron cieplejszych, po przyjeździe nad Newę, podlegają różnym ciężkim chorobom, które nieraz przechodzą w chroniczne. Słabsze tedy, po niefortunnej próbie, nadwątliwszy swe siły i finanse, muszą porzucać studya i wracać do domu. Otóż pożądane byłoby otwieranie ognisk wiedzy fachowej dla kobiet we wszystkich wybitniejszych miastach państwa, jak: Moskwa, Kijów, Charków, Odesa, Tyflis, Warszawa, Ryga.

Jak zaznaczyliśmy wyżej, rola kobiet w dziedzinie nauczania elementarnego ma przed sobą szeroką przyszłość; ale zanim ona wejdą na te szranki i staną się istotnie produkcyjnemi, system samego nauczania oraz warunków pracy pedagogicznej musi uledz zasadniczym zmianom. Przy obecnym stanie rzeczy zawód wychowawczy nietylko nie jest ponętny, ale w troscе o byt stanowi drogę cierniową, zarówno pod względem ekonomicznym, jak i moralnym.

Brzaski przyszłości społecznej i ekonomicznej kobiet oświetlają inne jeszcze rozległe pola pracy samodzielnej: po za ogniskami życia miejskiego, które pochłania dziś najdzielniejsze jednostki, energię tłumów słabszych, niezaradnych, ściera i łamie, liczne rzesze wprzęga do kieratów wytwórczości i wymiany, uzależnia i częstokroć upokarza. W dziedzinie różnorodnych przedsiębiorstw wiejskich szeregi kobiet będą mogły kiedyś znaleźć pracę niezależną i produkcyjną, wrócić z tułaczki miejskiej i obcych dalekich kątów. O różnych gałęziach tej dziedziny, w znacznej części nietkniętej, i o ich znaczeniu praktycznem, pomówimy kiedyś szczegółowiej, gdy się przyjrzymy z bliska warunkom kraju.

Zen. Piet.

LIBERUM VETO.

Chroniczne narzekania. — Stanowisko Chińczyka. — Literatura a zadrukowany papier. — Akademia i karczma lub kram. — Gdzie się rodzi skandal. — Jego rozrost zagranicą i u nas. — Przyjazny grunt i poparcie organów poważnych. — Mamy to, co lubimy. — Człowiek, który potrafił wszystkiego dowieść.

Ile razy dwóch „literatów“ pobije się lub nawymyśla sobie szczodrze, natychmiast w prasie naszej odzywają się tony smutne lub rozpaczliwe, z kazalnic dziennikarskich spadają gromy i ulewy łez, karzących i opłakujących „upadek literatury,“ obniżanie się „godności pisarskiej“ itp. A mnie zawsze wtedy ogarnia serdeczny śmiech, jak na przedstawieniu „komedyi omyłek.“ Bo przedewszystkiem nie widzę wcale tego, co bolejących proroków pobudza do rozdzierania szat, mianowicie nie widzę w naszej literaturze ani karczmy, ani zaciętej walki około namydlonego słupa dla zdobycia zawieszonego na nim „garnituru,“ ani jaskiń, w których kryją się opryszki, napadający i obdzierający podróżnych. Wszystko to u nas się dzieje, ale nie w literaturze. Od wielu lat daremnie tłomaczę cierpiącym mężom, że już wielki czas dla nich zejść ze stanowiska chińczyków, uważających każdy kawałek zadrukowanego papieru za rzecz świętą, za literaturę. Na tem stanowisku nie stoi już nawet nasz prosty chłop. Dopóki czcionek i tłoczni drukarskich używano wyłącznie lub przeważnie do objawień mądrości i natchnienia, miał ten chiński pogląd swoją zasadność; ale dziś, gdy owe środki techniczne służą zarówno uczonym i poetom, jak rajfurom do reklam i rachunków, trzeba być bardzo naiwnym, ażeby go wyznawać. Literatura jest to świątynia albo akademia; tuż przy jej gmachu lub opodal stoją rozmaite budowle i kramy, w których przebiegłość za pomocą drukowanego wyzyskuje głupotę, rozdrażnia niskie instynkty, rozpala namiętności, dogadza słabościom ludzkim — zakłady, które się nazywają pismami peryodycznemi, a są rodzajem szynków, domów gry, knajp, sklepów z tandetą, biur pokątnego doradztwa itd. Na sto t. zw. organów prasy każdego kraju zaledwie czwarta część, a w pozostałych zaledwie jeden procent materyału należy do literatury; reszta stanowi artykuły spekulacyi, które jako produkty obojętne lub szkodliwe dziś wchodzą w obieg, a jutro tak giną, że nawet galganiarka, wygrzebawszy je w śmieciach, nie podniesie. Jaki kram — taki pan. Fabrykacyą tych zadowoleń umysłowej nędzy lub zwyrodnienia nie mogą zajmować się dusze światłe i charaktery podniosłe, lecz chwytają się jej najzwyczajniejsi handlarze, którzy z równą zdolnością i chęcią wyrabiać i sprzedawać będą: mleko zaprawiane wapnem, herbatę z paprochów siana, nową odzież z przenicowanej starej, cukierki barwione aniliną, jak artykuły dziennikarskie o szkodliwości nauki, fałszerstwa cudzych przekonań, paszkwile, kłamstwa i obelgi polemiczne. Wybór tego lub innego geszeftu zależy jedynie od rachuby, na czem zrobią lepszy interes. Te hałaśliwe karczmy, te napastnicze bandy, te tandeciarskie sklepy, te warsztaty paszkwilu są wstrętne, szkodliwe, niepożądane, ale one istnieją i działają po za obrębem literatury i bynajmniej nie są u nas liczniejsze, niż gdzieindziej. We właściwej świątyni lub akademii wiedzy i twórczości artystycznej narodu zdarzają się czasem gwałtowne wybuchy sporów i gorszące starcia obrażonych ambicyj; zarówno wszakże

u nas, jak wszędzie, są one bardzo rzadkie i prawie nigdy nie dosięgają tych granic, do których dochodzi bandytyzm dziennikarski. Gdyby Konopnicka, Orzeszkowa, Sienkiewicz, Asnyk, Bałucki, ktokolwiek wreszcie z tworzących literaturę, w gniewie lub zawiści ukąsił przeciwnika zjadliwie — byłby to wypadek bardzo smutny i publicznego pożałowania godny; ale gdy to uczyni jakiś pokątny doradzca dziennikarstwa, jakiś pismak, który nie należy do literatury, jakaś mizerna szczypawka lub padalec, uwijający się za żerem po za jej ścianami, nie warto o tem nawet wspominać publicznie. Kto się czuje silą, powinien mieć dumę i nie wszczynać procesu a tem mniej walki z byle złą słabością; kto się uważa za arystokratę ducha, powinien gardzić złorzeczeniami umysłowego motłochu. „Wszystko ci przebaczę—powiada o pewnym nieponiu Jean Paul — nie przebaczyłbym tylko tego, gdybyś chciał być moim przyjacielem." „Mój honor — pisze Heine — nie spoczywa w rękach pierwszego lepszego gazeciarza; pierwszy lepszy dziennik nie jest dla mnie trybunałem; ja mogę być sądzonym tylko przez przysięgłych historyi literatury." Oto jest stanowisko pisarza, czującego i szanującego swoją godność. Albożto kucharka kowieńska nie mogła wyrzucić na głowę przechodzącego Mickiewicza obierzyn kartoflanych? Albożulicznik warszawski nie mógł pokazać języka Staszycowi? Albożbrutalny awanturnik nie mógł potrącić i obalić Krasińskiego? I czy który ze znieważonych pomyślałby o odwecie? I czy zniewaga każdego z nich była objawem smutnym w literaturze? Czy zaś ktoś wyrzuca obierzyny, pokazuje język i potrąca czynem w rzeczywistości, czy drukiem na papierze — to wszystko jedno. Nie trzeba tylko patrzeć po chińsku.

Skarżymy się na nadmiar gadzin w prasie naszej. Ach, gdybyśmy je poznali i policzyli w Niemczech, Francyi, Włoszech, Austryi, Ameryce! Żmije warszawskie wobec zagranicznych są skromnem stadkiem niewinnych jaszczurek. Pomijam t. zw. prasę rewolwerową, która żyje z najbezczelniejszej potwarzy, która nie przestrzega w swych zmyśleniach nawet cech prawdopodobieństwa, która może np. ogłosić, że prześladowany przez nią minister skradł kilkaset belek żelaznych z wieży Eiffla i zbudował z nich most w swych dobrach; ale dosyć skosztować sosów, przyprawianych kandydatom na posłów do parlamentu. Afisz wyborczy, rozlepiany w tysiącach egzemplarzy na ulicy, jest taką samą literaturą, jak numer dziennika, nadzianego farszem reporterskim. A cóż czytamy w tych afiszach? „Nie wybierajcie Morina, bo on zrabował kasę gminną, zatarłszy zręcznie za sobą ślady zbrodni; przywłaszczył sobie pieniądze sierot, których był opiekunem; chwytał na cmentarzach młode wdowy, przychodzące opłakiwać swych zmarłych mężów, i gwałcił je zwierzęco" itd. w tymże stylu. Proszę z tym smokiem oszczerstwa porównać naszego buldoga lub mopsa! Mizerak!

Czy to znaczy, że żyjemy w najlepszym ze światów i że w nim nie ma błota, któreby uprzątnąć należało? O, nie. Ale naprzód nie trzeba go przeceniać, a powtóre pomyśleć o poprawie gruntu, na którym ono się tworzy. Jeżeli w naszej prasie jest za dużo organów umysłowego chamstwa i moralnej nieprawości, to widocznie ogół w nich smakuje. I rzeczywiście tak jest. My jesteśmy narodem mało i płytko oświeconym, nie mamy uroczych tradycyj nauki i zamiłowania do badań, nie przywiązujemy trwale myśli do wielkich zagadnień, nie wytworzyliśmy sobie atmosfery artystycznej, składamy w przeważnej części społeczeństwo ciemnego ludu, sfanatyzowanej i nieukształconej szlachty, zmateryalizowanego mieszczaństwa i bezmyślnej, zwyrodniałej arystokracyi. Na takich instrumentach trudno wygrywać wzniosłe melodye. Ale za to rubaszne krakowiaki, pieśni kantyczkowe, kuplety z tłustych fars! Są u nas pisma peryodyczne, których całemi latami nawet nie widuję, których nie zaliczam do literatury, a więc również nie włączam do zakresu mojej obowiązkowej lub dobrowolnej uwagi. Czasem wszakże wpadnie mi w ręce jakiś numer tego rodzaju wydawnictw, który stawia przede mną pytanie: mniejsza o złą wolę i złą wiarę mniejsza o kłamstwa i potwarze, bo te mogą łudzić pozorami szczerości i prawdy, ale co to są za umysły, na które oddziaływa przekonywająco tak bezmierna głupota, prostactwo myśli i wyrażenia, barbarzyński język grubych instynktów? Przecież tam nie ma ani wiedzy, ani artyzmu, ani logiki, ani nawet zwyczajnego stylu. Komu ten ordynarny groch z kapustą sprawia przyjemność, kto go spożywa łakomie? Słyszę: obywatele ziemscy, księża, przemysłowcy, rzemieślnicy, kupcy rozmaite żywioły, mianujące się „inteligencyą." Rozumiem, że można być antisemitą, klerykałem, arystokratą, spirytystą, legitymistą, rozumiem, że można zachwycać się De Maistrem, Bodinem, Mentzlem, Tarnowskim, Lisickim; ale nie pojmuję, jak można znajdować zadowolenie w rozprawach nieukształconego czeladnika rzeźnickiego o zadaniach społeczeństw i zagadnieniach wiedzy. A nasz ogół „oświecony" właśnie takie wykłady lubi i nazywa je... „literaturą." Że ta „literatura" urządza mu czasem okropne widowiska — nic dziwnego. Sprawiedliwość jednak każe zaznaczyć, że również niektóre pisma „poważne" z rozkoszą patrzą na pewne gatunki skunksów dziennikarskich, nawet popierają ich hodowlę, dopóki złe stworzonka obryzgują przeciwników ich kliki; dopiero gdy uraczą sprzymierzeńców, poważni mężowie podnoszą krzyk i lament.

Krótki sens tego długiego wywodu jest następujący: skandal rozrasta się u nas nie w literaturze, lecz po za nią; rozmiary jego nie są wcale większe, niż śród innych społeczeństw; pleni się on zaś dlatego, że znajduje przyjazny grunt w „inteligencyi" i życzliwe poparcie w prasie.

Umarł głośny historyk pruski, Treitschke. Oto był człowiek, który rzeczywiście wprowadzał do nauki zgorszenie. Ktoś wyraził się o nim, że ma szczególny talent dowiedzenia wszystkiego. Jakkolwiek w wieku naszym, który swoją bezczelną i krętą sofistyką zaćmił najznakomitszych sofistów greckich, talent tego rodzaju nie jest rzadkim, Treitschke posiadał go w wysokim stopniu. Był to nieporównany mistrz w gwałceniu historyi dla celów polityki. Czegokolwiek potrzeba było Prusom, to on stwierdził, poparł odpowiednimi dowodami, wydobył z archiwów z podań, z logicznego rozumowania. Gdyby pewnego dnia urząd kanclerski poprosił go o wykazanie, że Perykles był lejtnantem pruskim, a Hannibal modlił się na książce niemieckiej, że mieszkańcy Ekbatany jadali knedle i uprawiali jabłka zwane Friedrich Wilhelm, z pewnością Treitschke na to wszystko wynalazłby dokumenty i wyciągnął z nich niewzruszone wnioski. A gdy mu zarzucano stronność i niesumienność—łżył, łżył jak przekupka. Oprócz Niemców, a zwłaszcza Prusaków, nienawidził wszystkie inne narody, a nas wytatuował swem piórem potwornie.

Poseł Prawdy.

Z NIEMIEC.

Berlin w kwietniu.

Tryumf tutaj święci sztuka polska w osobach Fałata i Kossaka, twórców obrazu „Berezyny." Wszystkie pisma nie wyłączając najbardziej szowinistycznych i polakożerczych, wynoszą pod niebiosa dzieło artystów polskich wystawione w panoramie wojennej na Herwartstr. Obraz jest panoramiczny i przedstawia przeprawę Napoleona i jego rozbitków przez Berezynę. Część sali przylegająca do obrazu uscenizowana w ten sposób, iż widzowi na platformie wydaje się jakoby miał tuż przed sobą rzeczywisty brzeg rzeki i był świadkiem wielkiego dramatu historycznego. W środku obrazu widzimy dwa mosty, zbudowane w pośpiechu na rozkaz Napoleona bez poręczy. Jest to trzeci dzień przeprawy przed wieczorem. W wielkim strachu przechodzi przez most ostatnia część wojska, niesforna masa tamowana przez ciągłe załamywanie się desek. W przestrachu nietylko ustaje wpływ dyscypliny, ale i wszystkie względy koleżeństwa i ludzkości. Silniejsi torują sobie drogę, spychając do wody zatrzymujących ich słabszych. A na prawym brzegu armaty dają ognia do nacierających z tyłu wojsk rosyjskich, w około zaś brzeg roi się od ludzi, którzy szczęśliwie przebyli most. Z licznych epizodów, doskonale malujących ludzi epoki ówczesnej, zwraca na siebie uwagę powóz M-lle Mars, o który uderza bomba. Artystka ta z Comedie francaise, która towarzyszyła Napoleonowi w jego wyprawie do Moskwy, wyskakuje przerażona z powozu. Tuż obok prowadzą grupę jeńców rosyjskich, których, jak głosi legenda, Napoleon w liczbie 2,000 umorzył głodem w tydzień później. Dalej na prawo oko widza przykuwa scena, streszczająca w sobie całą grozę położenia. W środku sceny, w pozie świadczącej o rezygnacyi siedzi Napoleon na bębnie i z ponurem obliczem przygląda się jak giną w ogniu jego ongi zwycięzkie sztandary; każe je palić, aby nie wpadły w ręce wroga. Wielki wódz, przed którym wówczas jeszcze drżała Europa, zdaje się nie widzieć krwawych scen na mostach, gdyż utkwił swój wzrok w ukochanych chorągwiach, którym jego towarzysze i pomocnicy oddają honory. Drżąca od zimna gwardya zdaleka przypatruje się scenie ze smutkiem. Wszędzie grupy marznących Francuzów, wszędzie trupy ludzi i koni. Te ostatnie służą za pokarm dla wojska; żołnierze wyrywają je nadlatującym krukom, by wykrajane z nich mięso upiec na ogniu. Wszystko to znajduje się po stronie obrazu, wykonanej przez Kossaka. Dalej na prawo gen. Eblé studyuje w ustroniu kartę geograficzną miejscowości, grzejąc nogi przy ogniu. Wszystko to jest otoczone morzem śniegu, który ciągnie się jak daleko sięga wzrok. Ta nieprzejrzana masa biała zdaje się nam opowiadać tragiczne zakończenie wielkiej epopei Napoleońskiej, te kilka lub kilkadziesiąt tysięcy ludzi wydają się nikłą drobiną, rzuconą na pastwę śniegu opasującego zewsząd swym pierścieniem groźnym. Majestatyczny spokój natury i nieubłagana siła klimatu, odtworzone po mistrzowsku, nadają utworowi wysoce tragiczny charakter. Dzieło to stoi o całe niebo wyżej od innych prac tego rodzaju, stworzonych *ad majorem gloriam Borussiae et Teutoniae* i budujących ubogiego ducha widzów patryotycznych. Jeżeli poddać krytyce wszystkie szczegóły obrazu naszych artystów, to rozumie się kompetentne oko wykryłoby niejedną usterkę. W danym razie atoli idzie o całość, a ta, jak świadczy chór pochlebnych krytyk,

pociąga silnie widza i przemawia do niego wyrazami pełnymi prawdy historycznej, smutnej acz wielkiej, bo pozbawionej różu lub czerni subjektywizmu.

Podczas gdy w Austryi antisemityzm rośnie z każdym rokiem, a w społecznem życiu Wiednia zajmuje stanowisko przeważające, w Niemczech traci on stopniowo znaczenie, które posiadał kilka lat temu. Prasa co tydzień donosi o zawieszeniu któregoś z pism antisemickich; najbardziej chyba świadczy o nieżywotności owego kierunku to, że Stocker, Mahomet antisemityzmu nowoczesnego, traci zupełnie grunt pod nogami i zbacza na drogę, niewiele mającą wspólnego z żydożerstwem. Jeszcze kilka lat temu wśród jego „uczniów" wyłoniła się grupa młodych pastorów, usiłujących pogodzić nowoczesne prądy społeczne z duchem Ewangelii. Kierunek ten był ogromnie nie na rękę Stöckerowi. Były kaznodzieja nadworny wziął na siebie rolę demagoga, aby pieczeń zachowawców upiec przy ogniu demokratycznym. Krucyata przeciko Żydom była rzeczą drugorzędną. Ponieważ Bismarck zawarł wówczas przymierze z liberalizmem narodowym, Stocker chcąc niezadowolone masy zyskać dla prawicy, był zmuszonym wskazać semitów jako sprawców wszystkich klęsk i użyć ich za kozła ofiarnego. A jednak nie miał powodzenia; nie pomogły ani jego krasomówczość, ani takt dyplomatyczny, polegający na tem, że się godził często z wrogiem, a kopał dołki pod sprzymierzeńcami, a nawet protektorami, jak dowiódł jego list do Hammersteina, ogłoszony w r. p. przez złośliwe pismo radykalne. Gdy młodzi pastorzy heretycy zaczęli kompromitować mistrza, Stöckerowi nie pozostawało nicinnego, jak zerwać z nimi stosunki. Młodzi za pole działalności swej wybrali okrąg saarski, gdzie panuje wszechwładnie „król" v. Stumm. Tytuł ten nadano możnowładcy bardzo trafnie, gdyż dzięki swemu bogactwu i stanowisku politycznemu, rządzi faktycznie całym okręgiem, gniotąc wszystko, co się ośmieli zakwestyonować moralną wartość rządów barona. W jego okręgu nietylko nie może wychodzić żadne opozycyjne pismo, lecz nawet prenumerowanie jego jest prześladowane wszelkimi legalnymi i nielegalnymi środkami.

Społecznicy chrześciańscy systematycznie podminowują sławę barona Stumma, ogłaszając wciąż nowe szczegóły, stanowiące tajemnice stanu państwa Stummowskiego. Młodzi „wichrzyciele" w zapędzie doszli do nieprawowierności i polemizując ze Stöckerem, wbrew jego oporowi pociągnęli go nieco za sobą pod groźbą stracenia sławy „przyjaciela ludu"; wtedy powstali przeciwko Stöckerowi i sami zachowawcy, żądając, aby odkrył swe karty i podkreślił wyraźnie, że należy do obozu prawicy, aby potępił swój organ *Volk* za jego częste i ostre wycieczki przeciwko zachowawcom. Wywijał się, jak piskorz, otaczał się tumanem frazesów dwuznacznych, lecz wreszcie wyklęto go i wyrzucono z obozu konserwatywnego. Obecnie zwolennicy Stöckera, jako osobny obóz społeczny, w świeżo wypieczonym programie obwieścili światu swe zasady; ze zdziwieniem dowiedzieliśmy się wszyscy, iż w programie Żydzi figurują gdzieś tam w szarym kącie; jest o nich mała wzmianka, lecz o tyle nawpółtolerancyjna, że podpisałby się pod nią może niejeden Żyd. Młodzi zaś pastorzy już dawno wyparli się antisemityzmu. Istnieje jeszcze inna grupa antisemicka, która w parlamencie mianuje się „partyą reformy." Ten obóz również nie zrobił w ostatnich czasach znacznych postępów; w Berlinie zniesławiono go wskutek obskurantyzmu wodzirejów.

Wśród całej falangi jedynym człowiekiem, zasługującym z charakteru swego na sympatyę, jest dr. Bockel, posiadający przynajmniej mierne wykształcenie i żądający między innemi upaństwowienia ziemi. Ahlwardt, który obecnie przebywa w Ameryce, uchodzi w Berlinie za jedną z najbardziej komicznych osobistości. Parlamentaryzm ten w swej działalności społecznej posługuje się pięściami, a od czasu do czasu takim nieparlamentarnym słownikiem, iż zaćmił towarzyszów idących z nim o lepsze. Berlin, zdaje się, raz na zawsze jest straconym dla antisemitów; tylko na prowincyi, jak np. w Saksonii, gdzie, mówiąc nawiasem, Żydów jest stosunkowo bardzo mało, są okręgi, dające się jeszcze brać na lep doktryn przeciwżydowskich. Jednemu z odłamów antisemityzmu tutejszego przewodniczył ślepy filozof, Eugeniusz Dühring; pisemko jego wyzionęło ducha zdaje się jeszcze przed rokiem, gmina zaś zbiera się od czasu do czasu w jakiejś knajpie, aby wymyślać na wszystko i wszystkich, z wyjątkiem „Arystotelesa nowoczesnego," którym jest oczywiście Dühring.

H. F.

BADANIA NAUKOWE.

NA KRESACH WIEDZY.

Zadaniem każdej teoryi naukowej jest nietyle objaśniający wykład zjawisk otaczającego nas świata, ile wskazywanie dróg, po których w badaniu faktów pewnej dziedziny postępować należy. Gdy przy badaniu tem spotykamy objawy, których dana teorya objaśnić nie może lub które jej stanowczo przeczą, wówczas musimy ją odrzucić; w pierwszym wypadku—jako niedostateczną, w drugim — jako fałszywą. Weźmy przykład. W pierwszej połowie XVIII wieku toczył się, jak wiadomo, ożywiony spór pomiędzy zwolennikami emisyjnej teoryi światła Newtona, a obrońcami undulacyjnej, za której twórcę uważany jest Huyghens. Powaga Newtona oczywiście zwyciężyła, wstrzymując przez wiek cały rozwój nauki o świetle. Gdy odkryto i zbadano zjawiska interferencyi i polaryzacyi, sztuczny gmach, zbudowany przez wielkiego myśliciela, począł się chwiać, aż wreszcie runął pod ciosami, zadanymi mu ostatecznie przez Fresnela, Fiseau, Foucaulta, Younga i in. Przypomnijmy sobie jeszcze grasującą do końca XVIII wieku w nauce teoryę flogistyczną Stahla, według której palenie miało polegać na uchodzeniu z palących się ciał pewnego hypotetycznego pierwiastku, flogistonu. Dopiero ujawnienie przez Lavoisiera faktu, że ciężar ciała spalonego powiększa się (przez połączenie z tlenem), wywołało upadek pomienionej teoryi. Podobny los systematów niedostatecznych lub fałszywych bynajmniej nie dowodzi ich bezużyteczności; wskazuje on tylko, że trzeba być ostrożnym przy ich tworzeniu. Obyć się jednak bez nich niepodobna: tylko one bowiem dają możność wprowadzania pewnej systematyczności, pewnej metody do badań zjawisk przyrody.

W podstawie wszelkich podobnych teoryj, wszelkich praw i prawd, których systematy oddzielne właśnie tworzą to, co pod nazwą „teoryi" przyjmujemy, spoczywają pewne zasadnicze pojęcia, abstrakcye, jak: czas, przestrzeń, materya (z eterem, jako szczególnym jej przypadkiem) i energia. Nie możemy nietylko znaleźć w przyrodzie, lecz nawet pomyśleć jakiegokolwiek faktu lub zjawiska, któreby nie opierałoby się przynajmniej na jednej z tych abstrakcyj. Stanowi to jednak widocznie szczególną własność umysłu ludzkiego, że dla żadnej z nich nie mamy ścisłej definicyi. Rozpatrzmy dla przykładu pojęcie materyi. W podręcznikach fizyki czytamy: „Wszystko to, co w zmysłach naszych wywiera pewne określone czucia, nazywamy materyą." Sądzę, że łatwo wykazać niedokładność tej definicyi. Bo właśnie nie materya sama, lecz ruch jej wywołuje w nas pewne czucia. Czyż w takim razie światło, drażniące nasz zmysł wzroku, nie jest też materyą? Lecz i bardziej naukowe dzieła szwankują na tym punkcie. Prof. Natanson w swem znakomitem zresztą dziele: *Wstęp do fizyki teoretycznej*, pisze (str. 5): „Materyą nazywamy to, czemu przypisujemy byt przedmiotowy," skąd znów wynika, że i obrazy, wytwarzane w pewnych szczególnych przypadkach przez nasz mózg, a rzutowane na zewnątrz (jak np. halucynacye), są także materyalnymi. Jeszcze trudniejszem jest zadanie określenia innych zasadniczych abstrakcyj, z których czas i przestrzeń musimy już z konieczności uważać za kategorye, tj. pojęcia, zrozumiałe dla wszystkich, lecz niepodlegające żadnemu ścisłemu oznaczeniu.

Owe abstrakcye były oddawna, a szczególniej są obecnie, przedmiotem żywych rozpraw i roztrząsań uczonych i myślicieli całego ucywilizowanego świata i stały się, że tak powiem, kresowemi zagadnieniami naszego poznania. Tworzą one jeden z najobszerniejszych rozdziałów tej „Encyclopédie d'Ignorance" (Encyklopedyi niewiadomości) Araga, która jest może stokroć obszerniejszą i bardziej pouczającą, niż encyklopedya wiedzy. Do zagadnień najbardziej obecnie niepokojących umysły zaliczyć należy kwestyę budowy i istnienia materyi wogóle, a w szczególności — zagadkę natury eteru, oraz istoty i pochodzenia pierwiastków chemicznych, a wreszcie — pojęcie energii. Pomijam tutaj umyślnie odmienną zagadkę życia, jako fakt zbyt złożony, wymagający oddzielnego opracowania.

I.

Dnia 8 sierpnia 1894 roku margrabia Salisbury, obecnie pierwszy minister Anglii, wygłosił w Oxfordzie na posiedzeniu British Association mowę, zatytułowaną: „Obecne granice wiedzy naszej." Sławny bowiem angielski mąż stanu, jak nie każdemu może wiadomo, zajmuje się nietylko polityką, lecz i nauką, a nawet jest „kanclerzem" uniwersytetu oxfordzkiego. Nie jedynym w Anglii pod tym względem dostojnikiem politycznym jest margrabia Salisbury. „Żyjemy—powiada on—w oazie wiedzy bogatej i wspaniałej, lecz otoczonej ze wszechstron rozległą, a niezbadaną krainą, opasaną nieprzeniknionemi tajemnicami. Wiekowa i ciężka praca następujących po sobie pokoleń zdobywa skrawki ziemi na pustyni i rozszerza granice naszych wiadomości." Wiele jednak jeszcze pozostaje zagadnień, które napróżno, jak dotąd, myśl ludzka stara się rozwiązać.

Z kwestyj tych, wciąż jeszcze oczekujących na odpowiedź, najważniejszą niemal jest dotycząca natury i pochodzenia pierwiastków chemicznych. Pod tem mianem pojmujemy blizko siedemdziesiąt ciał, które w żaden znany nam sposób na bardziej proste rozłożyć się nie dają. Czyż nie jest dziwnem, że przyroda dla budowy świata zużytkowała tak wielką liczbę ciał, która, jak na zasadzie nowych odkryć przypuszczać należy (argon i helium), jeszcze może się powiększyć? „Trzecia część (owych pierwiastków) — powiada Salisbury — tworzy sama połowę naszej planety, druga część ich może jeszcze oddawać pewne usługi, chociaż ciała, wchodzące w jej skład, są już dosyć rzadkie. Ostatnia część składa się z naukowych osobliwości, rozpowszechnionych przypadkowo,

lecz w sposób bardzo oszczędny, po całej kuli ziemskiej. Wydaje się. jakoby ona (ta część) miała za zadanie tylko dostarczać przedmiotu do badań zbieraczowi lub chemikowi." Wobec tego mimowoli w umyśle ludzkim powstało pytanie: czy nie istnieje pomiędzy tymi pierwiastkami jakiś tajemniczy związek? Pytanie to przenikało długotrwałą wiarę alchemii w możliwość przemiany rozmaitych metali na złoto. Gdy Dalton odkrył, że każdemu pierwiastkowi odpowiada jemu tylko właściwy ciężar atomowy, a tem samem—i wielkie swe „prawo stosunków prostych," w wielu głowach błysnęła myśl o wspólnem pochodzeniu pierwiastków chemicznych; zaczęto przypuszczać, że tym, z którego wszystkie inne powstały drogą zagęszczenia, jest wodór, i że (według twórcy tej hypotezy, Prousta) ich ciężary atomowe wyrażają stopnie zagęszczenia wodoru. Jeśli więc atom tlenu oznaczamy liczbą 16, a srebra — 108, to znaczy, że atomy ich składają się z 16 lub 108 atomów wodoru. Pomimo jednak prac analitycznych nadzwyczajnie ścisłych i dokładnych, wykonanych przez najpoważniejszych uczonych. pomiędzy którymi był i słynny Stas, hypoteza Prousta nie została potwierdzoną; przeciwnie, badania dowiodły jej nieprawdziwości.

Odkrycie analizy spektralnej wzbudziło nadzieję, że przy pomocy metody badań tak subtelnej uda się odkryć coś kolwiek z natury atomu. Rzeczywiście, dzięki pracom Hugginsa i Lockyera, dała ona rezultaty zdumiewające: przekonano się, że atomowi każdego pierwiastka chemicznego odpowiada charakterystyczne widmo, że należące do składu ciał niebieskich w ogólności, a słońca w szczególności, są przeważnie te same, jakie spotykamy na ziemi itd., lecz istota atomu pozostała tajemnicą.

Jeśli jednak w żaden sposób nie zdołano dowieść wspólnego pochodzenia pierwiastków, natomiast t. zw. w chemii „prawo tryjad" zdaje się dowodzić pewnej obecnej wspólności pomiędzy nimi, mianowicie istnienia w nich pewnych wspólnych części składkowych. Według tego prawa, ciała proste, należące do tryjad, czyli do grup po trzy pierwiastki każda, posiadają ciężary atomowe, różniące się o jedną i tęż samą wielkość, a zależnie od tego — i podobieństwo własności. Jako przykład weźmy, idąc za W. Meyerem (w jego mowie, wypowiedzianej na zjeździe lekarzy i przyrodników niemieckich w r. 1895 p. t. „Zagadnienie z dziedziny atomistyki"): lityn, sól i potas. Odpowiadające im ciężary atomowe są: 7, 23, 39. W tej tryjadzie ciężary atomowe pierwiastków różnią się wzajemnie jeden od drugiego o liczbę 16. Ciężar atomowy sodu znajduje się, jak wskazują liczby, pomiędzy ciężarami atomu litynu i potasu, i, jak wiadomo z chemii, własności tego pierwiastku są średniemi z własności chemicznych dwu ostatnich. Nasuwa się więc przypuszczenie, że drugi i trzeci pierwiastek każdej tryjady powstał z pierwszego przez przyłączenie się do pierwszego pewnej ilości ciężarowej jakiejś nieznanej materyi pierwotnej. Podobny fakt, zbadany już dokładnie, zachodzi rzeczywiście w chemii organicznej, w tryjadach, złożonych z t. zw. „kwasów homologicznych."

Lecz i prawo tryjad nie mogło dać odpowiedzi na nierozwiązaną kwestyę pochodzenia i natury ciał prostych. Następnie odkryte początkowo przez Newlandsa, a następnie genialnie opracowane przez Lotaryusza Meyera i Mendelejewa prawo peryodycznego układu pierwiastków wzbudziło znowu nadzieję przeniknięcia zagadki. Wskazując pokrewieństwo, zachodzące pomiędzy wszystkimi znanymi pierwiastkami, miało ono wyświetlić i tajemnicę wspólnego ich pochodzenia. Niestety, jak twierdzi Salisbury, „raczej zgęściło niż rozwiało mgłę owej tajemnicy, osłaniającą rzeczywistą naturę wszelkich ciał." I oto dlaczego: „Gdyby chodziło o substancye organiczne, zniklyby wszystkie trudności po wypowiedzeniu przez nas wygodnego słowa *ewolucya*, jednego z tych źle określonych wyrazów, które od czasu do czasu zjawiają się w mowie zwykłej i posiadają dar przynoszenia nam ulgi w niepokojach i zakrywania przed naszemi oczami luk wiedzy naszej. Na nieszczęście rodziny atomów elementarnych nie podlegają modyfikacyi przez doskonalenie się; nie możemy więc przypisywać stopniowych różnic, jakie stwierdzamy pomiędzy nimi, zmianom przypadkowym, utrwalonym przez dziedziczność drogą doboru naturalnego. Rzadkość jodu i obfitość brata jego, chloru, nie da się tłomaczyć utrzymaniem się przy życiu bardziej godnego w walce o byt..." A więc i prawo układu peryodycznego pierwiastków nie pomogło, jak twierdzi Salisbury, rozwiązać wieczystej zagadki atomu.

Być może, że dziś nie wyrzekłby on tych słów po wysłuchaniu mowy Meyera, o której już wspomniałem, wzmiankując o prawie tryjad. Znakomity ten chemik posunął interesujące nas tu zagadnienie znacznie naprzód i wskazał metodę, podług której odpowiednie doświadczenia prowadzić należy.

(D. c. n.)

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA ANGIELSKA.

DANTE GABRIEL ROSSETTI.

Francis Huffer: *Memoir of Dante Gabriel Rossetti* (w Ballads and Sonnets ed. Tauchnitz). — H. Baston Forman: *Our Living Poets VII D. G. Rossetti.*

Dante Gabriel Rossetti był synem Włocha i Angielki. Urodził się w r. 1828. Ojciec był znawcą głębokim Dantego, pisał komentarze do „Komedyi włoskiej" i zamiłowanie swe do poety włoskiego zaszczepił wszystkim członkom rodziny. Starszy syn, William Michael, krytyk, literacki i artystyczny, dał doskonałe tłomaczenie „Komedyi." córka, Marya — zbiór komentarzy, inna, Krystyna, w wierszach swych przedstawia ślady tego wpływu. Najmocniej jednak on się wyraził w dziełach Gabriela.

Już w dzieciństwie przejawiał wielkie zdolności poetyczne i zarazem malarskie. Uczył się w dwu akademiach, ale odrywany wciąż od pędzla przez literaturę i poezyę, nie zdobył w młodości techniki doskonałej i dlatego też rysunek jego aż do końca pozostał wadliwym. Było to w zgodzie zresztą z teoryami Ruskina, który na tę stronę zwracał najmniej uwagi. Krytyk zaś był jednym z głównych obrońców szkoły prerafaelicznej, założonej przez kilku młodych malarzy, między innymi przez Rossettiego. „Braterstwo" chciało zerwać z tradycyami akademickiemi, datującemi się od Renesansu i pójść w ślady malarzów pierwotnych. Tą drogą D. G. Rossetti doszedł do marzycielskiego mistycyzmu, inni postawili sobie za ideał oddanie natury w całej jej prawdziwości.

Pierwsze rysunki Rossettiego miały za temat sceny, wzięte z Shakespeare'a i oddawały je z wielką potęgą dramatyczną. Z czasem jednak traciły coraz bardziej ten charakter realny. „W miarę tego — powiada Hueffer — jak się rozwija jego poczucie formy i jak jego koloryt przybiera harmonię i potęgę prawie wenecką, tematy stają się coraz bardziej symboliczne, tracą wszelki interes ludzki, zdobywają natomiast piękno abstrakcyjne. Z punktu widzenia psychologicznego, ta transformacya może być objaśniona przez wpływ wciąż wzrastający Dantego, zwłaszcza „Vita Nouva," gdyż „Komedya Boska" mniejszy na nim ślad zostawiła. Za to jest prawdopodobnem, iż w tej nowej sferze, bardziej ograniczonej, Rossetti dopiął stopnia doskonałości, któregoby na pewno inaczej nie dosięgnął. Powiedziano o nim, iż był raczej kolorystą, niż rysownikiem, i to jest słuszne w tym sensie, iż jego rysunki, najstaranniejsze nawet, nie przedstawiają nigdy tego instynktu linij, tej pewności ręki, które charakteryzują szkołę francuską i niemiecką. Z drugiej strony, jego sposób oddania draperyi i póz był nader dokładny. Zpośród wszystkich malarzów współczesnych Anglii, Rossetti jest tym, który zrealizował typ najwyższy piękna kobiecego. W jego prostych postaciach — *Sibilla palmifera*, *Milczenie*, *Panna wybrana*, *Proserpina* „o oczach napróżno utkwionych bezustannie w oczy bezlitosne losu" — jakiekolwiek zresztą imię one noszą — jest potęga ekspresyi i głęboki patetyzm, które przemawiają do serca tylez, co do wzroku. Można rzec, iż artysta mało zmieniał typ piękna raz dopiętego. Mamy tu zawsze przed sobą te same oczy szare, głębokie, te same masy falisto włosów ciemnych, te same zmysłowe wargi. Trudno jednak zarzucić artyście, iż daje nam zanadto jakiejś rzeczy, jeżeli rzecz ta jest doskonała. Arcydziełem Rossettiego z lat ostatnich jest bezwątpienia „Sen Dantego," ułożony według „Vita Nouva" i przedstawiający marzenia poety w dzień śmierci Beatryczy. Prowadzony jest przez Amora ku łożu śmierci swej Pani, którą inne panie przykrywają zasłoną. Scena odbywa się w pokoju wymarzonym, łoże, na którem Beatrycza spoczywa, znajduje się w zagłębieniu jednej ze ścian. Piękno tej wielkiej kompozycyi, smutek malujący się na twarzy Dantego, wdzięk umarłej, przepych barw, sens głęboki wszystkich akcesoryów tej sceny, są trudne do opisania. Rysem charakterystycznym jest atmosfera wyraźnie włoska, uderzająca widza tu i w innych obrazach cyklu Dantejskiego tem bardziej, iż Rossetti nigdy nie zwiedzał Włoch. Aleja wiązów, którą widać poprzez okno, przypomina tę, która otaczała dom poety w Chelsea."

Wszystkie jego obrazy, to marzenia wizyonera, mistyczne i namiętne zarazem—przez większą publiczność poznane były dopiero po śmierci artysty, w r. 1883. Przy życiu gardził oklaskami tłumu, stronił od niego i żył w zupełnej samotności. Ożenił się w r. 1860 z Elżbietą Sidall, dziewczyną zadziwiającej urody, która we dwa lata po zamążpójściu umarła. Śmierć ta była dla poety ciosem nie do zniesienia. Wszystkie swe poezye zakopał wraz z umarłą, później jednak kazał je wyjąć z grobu i ogłosić drukiem. Jest to swego rodzaju świętokradztwo, czyniące wrażenie nieprzyjemne i dotychczas dokładnie nieobjaśnione. Od tego czasu jeszcze bardziej pogrążył się w samotność — wszelkie zetknięcie z ludźmi było mu bolesne, zwłaszcza gdy krytyka zraniła go całym szeregiem zarzutów bezmyślnych i oszczerstw.

Tak spędził na ustroniu lat dwadzieścia po śmierci żony, bezustannie pracując, coraz bardziej oddany poezyi, chociaż i malarstwa nie porzucał. Świat, od którego się odwrócił, ogłosił go za pijaka, człowieka niemoralnego i waryata. Czy ta samotność poetów i wrogie względem tłumu usposobienie nie mają głębszych przyczyn: czyżby były tylko skutkiem zwykłego trafu? Czyż to ogłaszanie ich za waryatów i ludzi niemoralnych nie jest swe-

go rodzaju zemstą tłumu, który w ten sposób odpłaca im za dumę i pogardę?

Tworzył niewiele i powoli — przez długie lata poezye jego były znane zaledwie drobnemu kółku przyjaciół. Drukiem ogłosił tylko tłomaczenie „Vita Nouva“ i kilka innych poematów w tymże duchu p. t. „The Early Italian Poets“ (1861), a także trochę wierszy — po miesięcznikach. Dopiero w r. 1870 wydał zbiór p. t. „Dante at Verona and other Poems,“ a w dwanaście lat potem, na kilka miesięcy przed śmiercią, wyszły „Ballads and Sonnets.“

Najważniejszą częścią obu tych zbiorów jest 50 sonetów, złożonych z kilku cyklów, objętych wspólnym tytułem „Domu życia“ (The House of Life). W formie swej posiadają one doskonałość ostateczną. Nie można tam znaleźć nic pospolitego, ani słówka, ani litery, którehy nie były na miejscu, owocem długich rozmyslów, a nie przypadku. Sonety te są w pełnem tego słowa znaczeniu oszlifowane. Od niego to właśnie symboliści francuscy wzięli oświadczenie, iż sztuka to nie natchnienie, lecz praca nocy bezsennych. Ale u Rossettiego to także nie retoryka: jego poezya zna wszystkie drogi do naszego serca, zarówno jak i do myśli.

Wiele z ducha poetów włoskich epoki Dantejskiej przeniknęło do tej pracy — był to owoc długiego z nimi obcowania. „Dom życia,“ to płonka włoska, zaszczepiona na drzewie poezyi angielskiej. Wszystko to wypowiedziane jest z harmonią, która jej dawniej nie była znana. To świeża, poetyczna dusza celta przeszła przez szkołę analiz subtelnych Dantego. Sonety odznaczają się niesłychanem bogactwem obrazów czystych i wytwornych, ale są zarazem pełne różnych alegoryj, przemawiają w nich wciąż obok poety uosobione abstrakcye: Miłość, Los, Nadzieja. Inteligencya współczesna, nowożytna, idzie tu w parze z wyobraźnią człowieka czasów ubiegłych, Dantejskich. Głęboki mistycyzm łączy się ze zmysłowością namiętną, acz artystycznie przykrytą. Sonety miłosne zawierają wiele realizmu, lecz utrzymanego w granicach należytych; a po za tą rapsodyą erotyczną czuć zawsze cienie życia poważnego i śmierci. Sprawy tamtego świata mocno interesują poetę, ale czujemy w nim zarazem duszę nowożytną, Faustowską, która rzeczy natury i świata pojmuje zupełnie inaczej, niż człowiek XIV stulecia.

Pierwsza część „Domu życia“ poświęcona jest „Młodości i zmianom“; główny jej przedmiot to miłość, pojęta w sposób średniowieczny. Kobieta kochana jest istotą nieziemską, pośredniczką, na wzór Beatryczy, między bóstwem i poetą. Ten kult kobiety, brzmiący w naszych czasach pozytywnych tak fałszywie, jest u Rossettiego zupełnie szczery. Zamknięty w odosobnieniu, poddawał egzaltacyi niesłychanej wszystkie wrażenia życia realnego. Jest to uwielbienie prawie religijne. Tym rysem „Dom życia“ przypomina „Vita Nuova,“ ale u Dantego miłość się subtelizuje do tego stopnia, iż pytamy się dziś, czy Beatrycza nie była symbolem teologii lub władzy cesarskiej. U Rossettiego uczucie jest bardziej namiętne i realne: wyraża często dumę tryumfu, pijaństwo posiadania. „Vita Nuova“ była wytryskiem entuzyazmu młodzieńczego, „Dom życia“ natomiast owocem męzkiej dojrzałości, znajdującej się w pełni sił. Dlatego ostatni ten utwór jest bardziej skomplikowany i bogaty treścią psychologiczną niż pierwszy. Zresztą poeta angielski XIX stulecia miał w swej duszy odcienie, których Włoch z XIV wieku znać nie mógł. O sonetach „Domu życia“ powiedziano, iż „są one jakby tworem współcześnika Dantego, który byłby znał zarazem Shakespeare'a.“ Nawiasem mówiąc, sonety Shakespearowskie stoją daleko niżej — zwłaszcza pod względem formy — niż Rossettiego.

Ostatnie sonety pierwszego cyklu zawierają tony ponure. Serce kochanka zapełnia się przeczuciami złowrogiemi. Śmierć musnęła go swem skrzydłem, unosząc istotę kochaną. Zagadka bytu pozazmysłowego staje przed myślą. Miłość opuściła poetę i on wstępuje w życie poważne pracy i obowiązku. Trzy głosy przemawiają doń po kolei w sonetach zatytułowanych „Wybór.“ Jeden wskazuje mu użycie, drugi — wiarę, trzeci — myśl i czyn. Wybiera te ostatnie. Czynem jest dlań sztuka, ale nie powierzchowna, nie ta, co się kontentuje jedynie pięknem zewnętrznem, lecz ta, co się wznosi w świat zazmysłowy, chce przeniknąć w sfery niewidzialne i poznać źródła życia. Nieskończoność niebios, milczenie pól, blask słońca — wszystko to są symbole potężne, które tłomaczą mu Boga. Te kwestye spirytualistyczne — nie ujęte zresztą w żaden system określony — stanowią przedmiot drugiego cyklu sonetów p. t. „Zmiana i Los.“ Pod koniec znajdujemy coraz więcej melancholii i znużenia. Barwy jesienne przeważają, plamy rdzy i zepsucia występują tam, gdzie niegdyś były kolory żywe zdrowia. Wiosna utraciła dla poety dawny swój urok — pamięta, iż kwiaty więdną, że śnieg pokryje wszystko. Myśl o śmierci znów go opanowuje, ale nie beznadziejna. „Dom życia“ kończy się polotami mistycznymi i wiarą w jakąś przyszłość pozagrobową, nieokreśloną.

Taką jest treść tych sonetów, tak trudnych do oddania, nawet w tłomaczeniu! Wszystko tu się obraca koło nastrojów delikatnych i zmiennych, prawie niedostrzegalnych. Jest to atmosfera rzeczy przebrzmiałych, kwiatów rzadkich, o zapachach chorobliwych, cieplarnianych. Nie szukajcie tu świeżych powiewów wiatru. Całe dzieło posiada czar znużenia i zdenerwowania. Jeżeli jest i realizm, to niema nic wspólnego z naiwną literalnością, autor wydobywa raczej zgęszczone esencye z rzeczywistych stanów duchowych. Posiada przytem wielką potęgę realizowania zjawisk umysłowych, nadawania im kształtów. Tak np. (w „Lost Days“ i w „Willow-wood“) ubiegłe dni jego życia stoją przed nim, jako cienie bezjęzyczne i naprowadzają na szereg myśli i wyrzutów zupełnie realnych: oskarżają go o samobójstwo za każdy dzień marnie, bezużytecznie spędzony.

O wyrafinowaniu formy tych sonetów możemy sądzić z tego, iż Rossetti, jeden z pierwszych, starał się, by jego słowa wywołały zarazem suggestye barwne i dźwięczne — czego obecnie symboliści się dobijają. W jego wierszach „music and moonlight and feeling are one.“ Jest to poezya w najwyższym stopniu artystyczna i dostępna tylko dla niewielu.

Pisaliśmy już na tem miejscu o „Balladach“ Rossettiego. Powiemy jeszcze słów kilka o innych utworach poety. „A Lost Confession“ studyum subtelnej i chorobliwej psychologii, pisane wierszem białym. To zabójca spowiada się z morderstwa: w chwili zwątpienia zabił kobietę, którą kochał. W mistrzowskiem przedstawieniu męczarni zgryzot sumienia Rossetti dobywa tony czysto Shakespearowskie. Dziwić się tylko trzeba, iż poeta tak delikatny i czuły nie cofnął się przed tematem nader brutalnym.

W większym jeszcze stopniu można toż samo powiedzieć o innym poemacie „Jenny“ z życia zwykłej, ulicznej prostytutki, napisanym z taką potęgą współczucia, iż zarzut niemoralności, czyniony autorowi po pojawieniu się sonetów, po „Jenny“ już się nie powtórzył.

Dwa te poematy są ważne pod tym względem, iż obok fantasty-romantyka z „Ballad,“ obok estetyka-arystokraty z „Domu Życia“ odsłaniają nam inną jeszcze stronę poety: człowieka o sercu szlachetnem, gorąco współczującem wszystkim cierpieniom bliźnich.

W sumie jest to jeden z największych poetów ekstazy i marzenia, jaki kiedykolwiek istniał; świat występował przed jego zdziwioną duszą pełen cudowności i tajemnicy; wizye swe zamknął w zbiorze słów rzadkich i wytwornych. Dla wszystkich tych powodów ludzie zamiłowani w banalności życia powszedniego i gwary potocznej uważają go za romantyka spóźnionego. Jest to, być może, największa pochwała, jaką mu wyznaczyć można. Bo kto wie, czy my dotychczas nie żyjemy w poezyi z kapitału, który nam romantyzm pozostawił, nie stworzywszy nic nowego i roztrwoniwszy marnie tę wielką spuściznę?

L. W.



NOTATKI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

— *Warszawskij Dniewnik* zamieścił niedawno obszerną pracę p. t. „Polska literatura historyczna w r. 1895.“ Autor przyznaje, iż „Polacy zajmują“ się energicznie opracowaniem swej historyi narodowej, a sprawę tę traktują poważnie.“ Następnie charakteryzuje pobieżnie ruch historyczno-naukowy w różnych ogniskach polskiego życia umysłowego: w Warszawie, Krakowie, Lwowie i Poznaniu. O seminaryach historycznych krakowskich powiada, że tam kształcą się młodzi uczeni, którzy później są pożytecznymi i ruchliwymi wykonawcami przedsięwzięć naukowych Akademii Umiejętności. Wreszcie autor zaznacza solidarność naukową uniwersytetu Jagiellońskiego i Akademii Umiejętności.

— *Sonety krymskie* A. Mickiewicza, przełożone przez Miedwiedjewa, wyszły w Moskwie, jako odbitka z *Ruskiej Myśli.*

— *Ojciec zadżumionych* Słowackiego, przełożony przez Wł. Hausnera na język niemiecki, wyszedł w Wiedniu.

— Dwa pisma niemieckie drukują jednocześnie *Quo Vadis* Sienkiewicza: *Fremdenblatt* i *Niederrheinische Volkszeitung.*

— *Narodna Czasopyś* podała przekład „Damiana Capenkę“ A. Świętochowskiego, „Zemstę Feluni“ A. Wilczyńskiego i „Ja, on i ona“ A. Łętowskiego.

— Dr. Gumplowicz, prof. uniwersytetu w Gracu wydał dzieło p. t. „Osterreichische Reichsgeschichte,“ którego ostatni rozdział poświęcony jest czasom najnowszym: od Bürgerministeryum 1867—1870 do Badeniego na obecnem stanowisku. Autor gorąco przemawia za ustrojem federacyjno-autonomicznym.

SPRAWY EKONOMICZNE

SZKICE EKONOMICZNE.

Abstrakcye w nauce ekonomicznej. — Teorya wartości. — Jest to zasada oderwana, urzeczywistniająca się tylko wyjątkowo. — Cena a wartość. — Stosunek wzajemny pomiędzy niemi jest różny w różnych epokach produkcyi.

Na ziemię żelazo spada prędzej, niż puch lekki, który na przebycie tej samej drogi wymaga względnie znacznego przeciągu czasu, wodór zaś unosi się ku górze wraz z balonikiem, w którym go zamknięto. Indukcyonista, któryby ze stwierdzenia rozmaitego spadku ciał na ziemię pragnął wyprowadzić ogólne prawo, uwikłałby się bez wyjścia w nadmiernej złożoności przedmiotu i nadaremnie starałby się dać ogólny wzór dla wszystkich wypadków pojedynczych. Ażeby rozwiązać to zagadnienie, trzeba było usunąć wpływy środowiska i znaleźć zasadę, rządzącą spadkiem w próżni. Odkryta przez Galileusza, dała ona nam klucz do zrozumienia tego zjawiska oraz

odcyfrowania wpływów, jakie wywiera tarcie powietrza.

Podobnie dzieje się w zakresie zjawisk życia ekonomicznego, przy wymianie dóbr materyalnych. Towary, nawzajem wymieniane, wstępują z sobą w pewien stosunek — równości. W obu przedmiotach, np. złocie a zbożu, jest „coś,“ co sprawia, że wzajemnie równoważą się one pod względem wartości, tak samo, jak na szali wag dwa ciała są sobie równe co do ciężaru. Nauka o gospodarstwie narodowem, mając przed sobą do rozwiązania zadanie o naturze owego „coś,“ w ciągu wielu dziesiątków lat usiłowała dotrzeć do jądra zagadki. Kwestya ta była kością niezgody pomiędzy przedstawicielami pospolitej, zdawkowej indukcyi, którzy, uwzględniając każdy czynnik działający, z po za drzew ostatecznie nie mogli dostrzedz samego lasu, a rzecznikami poglądu, że ekonomia polityczna powinna uciec się do abstrakcyi, tj. w swojej analizie oderwać się od sprężyn drugorzędnych i poddać rozbiorowi tylko zasadnicze warunki, bez których niemożliwa jest wymiana. Idąc właśnie taką drogą, klasycy, jak Ricardo, doszli do teoryi, że wartość towarów zależy od ilości pracy w nich spoczywającej — teoryi, która z biegiem czasu była pogłębiona oraz uzasadniona, mianowicie iż chodzi tam nie o zwykłą pracę osoby pojedynczej, ale o przeciętną, społeczną.

Doktryna, która przyznaje produktom, wysyłanym na rynek, pewną wewnętrzną wartość, mierzoną w sposób powyżej wskazany, jest tylko abstrakcyą, taką samą, jak prawo spadku, które acz istnieje, jednak skutkiem oddziaływania środowiska nie jest zasadą, urzeczywistniającą się w każdym, konkretnym wypadku. Tak samo bywa z wymianą: to produktu bywa na rynku po nad potrzeby spożywców, to znowu zaofiarowanie nie pokrywa istniejących wymagań. Do tego dołączają się jeszcze inne wpływy i cena, tj. stosunek w jakim wartość danego przedmiotu jest zrealizowana, odchyla się nieustannie od właściwego poziomu, tak samo, jak kropla wody na powierzchni morza nigdy nie zajmuje stałego miejsca, ale pada i podnosi się na grzbiecie bałwanu, wahając się około pewnego punktu. Zdawkowy indukcyonizm, mniejsza, czy nadał sobie pompatyczną nazwę szkoły psychologicznej lub realistycznej, nigdy nie zdoła zrozumieć natury wpływów, wywieranych przez chwiejne warunki zbytu lub zmienny skład kapitału produkcyjnego. Można je odcyfrować, tylko wychodząc z wartości abstrakcyjnej i wprowadzając do niej poprawki na drugorzędne czynniki—tam, w takiej pracy, znajdzie się miejsce dla „psychologii“ spożywcy lub kapitalisty, dla rzadkości lub skutków monopolu. Dzięki tym rysom dodatkowym, obraz zasadniczy może uledz bardzo silnemu przekształceniu, jego podstawowe kontury mogą nawet zmienić się, ale bądź co bądź owo rusztowanie oderwane pozostanie zawsze jądrem. Jeden z profesorów ekonomii politycznej w Niemczech, Sombart, bardzo trafnie scharakteryzował taki stan rzeczy, mówiąc, że teoryę, głoszącą, iż praca przeciętna, społeczna określa rozmiary wartości, można zbić tylko wtedy, gdy badacz weźmie ją za zasadnicze założenie przy wyjściu. Tak samo poglądy o ustroju społeczeństwa rodowego od biegły bardzo daleko od poglądów Morgana, ale tylko dlatego, że ten wybitny etnograf żył na świecie,—uczniowie jego, zrozumiawszy pierwociny społeczne dzięki poszukiwaniom autora *Ancient Society*, odkryli odchylenie i wyjątki i znaleźli klucz do nich, zadając jednocześnie kłam pewnym uogólnieniom swego mistrza.

Studya nad dalszem pogłębieniem teoryi wartości, tj. nad uwzględnieniem owych czynników drugorzędnych, które działaniem swojem sprawiają zakłócenia, niekiedy tak stałe, iż cena prawidłowo odbiega od normy właściwej, postępują naprzód, acz zwolna. W ostatnich czasach zrobiono parę takich kroków. Okazało się, że wartość wewnętrzna, że tak powiemy abstrakcyjna, realizuje się niejednakowo w różnych okresach dziejowych, że w początkowych fazach gospodarstwa pieniężnego jest ona nawet uznaną podstawą wymiany, że w okresie dzisiejszego wielkiego przemysłu stale bywa gwałcona przez pewne czynniki drugorzędne, tkwiące w rozmaitym stosunku kapitałów stałego i zmiennego w danym zawodzie.

Wymiana powstawała niezależnie w wielu punktach globu ziemskiego. Wytwór pierwotny był dziełem tylko pracy, kapitał, tj. praca przeszła, upostaciowana w narzędziach, nie istniała. Surowy materyał, z którego wyrabiano przedmioty, czerpano wprost z przyrody, gdy dzisiaj piekarz musi go nabywać od młynarza, ten zaś od rolnika. Zamiast złożonych i kosztownych machin, które są dzisiaj potrzebne przy fabrykacyi pewnego przedmiotu i zużywając się zwolna, przenoszą na powstający towar swoją wartość, używano prostych narzędzi, będących zwykle owocem rąk wytwórcy, który brał się później przy ich pomocy do wyrobu produktu wymienionego. W takich warunkach wytwarzający zawsze mógł i umiał obliczyć przeciętną sumę wysiłków, które włożył w swój towar. Do tego trzeba dodać jeszcze inną okoliczność, mianowicie, że pojedyncze zawody nie były rozgraniczone nawzajem, jak dzisiaj, gdy osoba, poświęcająca się pewnej specyalności, nie ma żadnego wyobrażenia o wysiłku, który idzie na wyrób przedmiotu w innej gałęzi przemysłu. Pierwotny pracownik, wobec małego rozwoju produkcyi ówczesnej, zwłaszcza zaś techniki, znał się na każdym z nielicznych, wtedy istniejących fachów i umiał nawet wyrobić każdy sprzęt, jaki był mu potrzebny. Gdy dochodziło do wymiany, mógł bardzo trafnie ocenić, ile swego towaru miał dać w zamian za inny. Obrot towarów odbywał się na podstawie pracy społecznej, spoczywającej w wymienianych przedmiotach. Innych potęg wartościotwórczych tam nie było i nawet być nie mogło. Postęp techniki szedł zwolna, w ciągu całych wieków produkowano pewien wytwór według tych samych metod i przy pomocy tych samych narzędzi, tj. z tym samym nakładem pracy. Dokonywane sprzedaże, jedna po drugiej, poprawiały możliwe błędy, które zakradłyby się na początku w ocenie właściwego stosunku. „Ciągnąc korzyści z muszli—pisze ktoś o czerwonoskórych Ameryki północnej — kupują oni i sprzedają przedmioty według ustanowionej ceny, bez względu na czas i miejsce. Nigdy nie chcą pogodzić się z myślą możliwego zysku i straty, ani nie pozwalają nam podnieść ceny towarów, chociażby dowodzenia nasze były bardzo przekonywające, lub wymagała tego zmiana warunków na rynku.“ Słowem, tam, w towarze społeczeństwa pierwotnego realizuje się czas społeczny danego otoczenia — plemienia lub grupy paru ościennych plemion, czas, który jest i musi być odmienny dla każdego rynku, posiadającego byt niezależny. O tem, tj. że na rynku barbarzyńskim wartością towarów rządzi czas niezbędnie społeczny, przekonali się z doświadczenia pierwsi osadnicy europejscy Kowale nasi, widząc, że Indyanie rozbijają muszle na skorupki, zaokrąglają je i z otworem pośrodku, puszczają w obrót, postanowili skorzystać z takiej naturalnej mennicy nad wybrzeżem morskiem i wzięli się do produkcyi „pieniędzy indyjskich.“ Sądzili, że niebawem zrobią majątek. Przerachowali się przecież, bo robota była ciężka i w zamian za pracę w nowym zawodzie mniej otrzymywali produktów, aniżeli zarobkując jako kowale.

W takiem samem położeniu, jak barbarzyńcy, byli także rzemieślnicy średniowieczni. Warunki produkcyi były tam wprawdzie bardziej złożone, ale nie o tyle, ażeby świadomość pojedynczego wytwórcy nie panowała nad całością zawodów, podówczas istniejących. Ta okoliczność uzdolniała wytwórcę do właściwej a trafnej oceny trudów, tkwiących w jego towarze, oraz w przedmiotach, które wyszły z pod ręki innych rzemieślników. Zasada oceny wartości, stosownie do ilości włożonej pracy, stanowiła podwalinę wymiany w całym okresie średniowiecznym. Trzymali się jej bezpośredni wytwórcy, oddając swój produkt w inne ręce. Producent i spożywca stykali się na rynku bez pośrednictwa kupców: rzemieślnik wyrabiał buty na zamówienie odbiorcy. Handlarz, o ile istniał, pośredniczył pomiędzy jednym rynkiem a drugim, kupował materye, dywany i korzenie na Wschodzie i przywoził je do krajów Europy zachodniej, wywożąc natomiast stamtąd przedmioty i płody miejscowe. Nabywał on wytwory po cenie właściwej i sprzedawał po wyższej na rynku dalekim.

Tak wyglądają prawa, rządzące wymianą w społeczeństwie, które nie zna jeszcze maszyn, ani nie potrzebuje wkładać kapitałów w materyał surowy. Wartość, obliczana na zasadzie wysiłków społecznych, stanowi tam zasadę stosunku wymiennego. Istnieją w tym okresie dziejów wszelkie warunki po temu, wśród których najpierwsze miejsce należy się rozpowszechnieniu świadomości wzajemnej, wytwórców i spożywców, co do kosztów produkcyi. Z biegiem czasu nastaje jednak zmiana. Zamiast prostych narzędzi, któremi posługiwał się rzemieślnik, ukazują się złożone i, co ważniejsza, bardzo kosztowne maszyny, zamiast drobnych warsztatów powstają olbrzymie fabryki, które muszą łożyć znaczne kapitały na zakup materyałów surowych. Praca ludzka, dodana do pewnego materyału surowego przy pomocy narzędzi, stanowi niekiedy wprost drobną cząstkę w wartości wytworzonego towaru, większa zaś część przypada na pokrycie surowca, oraz zużytych maszyn. Nadto metody wytwarzania, napięcie pracy ludzkiej, zużycie narzędzi, wyglądają odmiennie w każdym oddzielnym zawodzie: wytwórcy, którzy nawzajem wymieniają swoje produkty, nie odznaczają się ową znajomością wysiłków, jaka jest powszechna w początkowej fazie gospodarstwa pieniężnego. Kapitalista, nawet we własnej gałęzi przemysłu, nie zdołałby obliczyć wartości towaru na podstawie pracy społecznej, zawartej w danym przedmiocie. To kryteryum, służące w uprzednich wiekach za wskazówkę podczas dokonywanej wymiany, przestaje odgrywać rolę jakąkolwiek. Przedsiębiorca oblicza cenę swojego produktu na innej zasadzie: obrachowywa on koszty, tj. materyał, zużycie narzędzi i wynagrodzenie, niszczone robotnikowi, do tego dodaje tak zwaną premię na ryzyko i odsetki z wyłożonego kapitału. W ten sposób otrzymuje on przeciętną skalę, którą będzie miał na uwadze przy sprzedaży towaru. Odsetki oblicza według skali społecznej, tj. bieżącej w danem społeczeństwie—nie jest ona dowolna, ale właśnie jej granica najwyższa bywa regulowana przez różnicę pomiędzy wartością przedmiotu, wyrażoną w pracy ludzkiej, a zarobkiem, pobieranym przez robotnika. Ale taki sposób obrachowywania sprawia, że wartość, obliczana według wysiłku społecznego, rozmija się stale z ceną, że zamienia się na kategoryę oderwaną, abstrakcyjną, taką samą, jaką jest prawo spadku ciał w próżni w stosunku do wypadków konkretnych. Przypuśćmy, że dwu wytwórców, posiadających na własność narzędzia

pracy i pracujących z tem samem napięciem, wymieniają w końcu rezultaty swojego wysiłku, jednakowego dla obu. Rezultaty owe będą równoznaczne, ale materyał, który poszedł na towar, oraz zużycie maszyn mogą być bardzo odmienne. Dopóki narzędzia przedstawiały nieznaczną wartość, materyał zaś surowy wynosił niewiele w porównaniu z wartością wysiłku, dodanego w pewnym zawodzie, jak to było podczas epoki rzemieślniczej, te składowe części wartości, wchodzące z zewnątrz, nie mogły zbytnio zaważyć na wymianie. Rzecz przybiera zgoła inny obrót, gdy w obu zawodach powstaje wielka produkcya, kapitał (tj. narzędzia i materyał) stanowi tam bowiem część coraz przemożniejszą. W roku 1830 w Stanach Zjednoczonych w fabrykach wyrobów bawełnianych przypadało na pojedynczego robotnika kapitału stałego 652 dolarów, w roku 1880 zaś 1,207. Może więc się zdarzyć, iż w jednym zawodzie wartość towaru będzie $A+a$, w drugim zaś $5A+a$, gdzie A są koszty, a zaś praca dodana bezpośrednio w tym przemyśle po odliczeniu zarobku najemników, który wliczaliśmy do A i $5A$. Gdyby kapitalista sprzedawał wytwór według wysiłków społecznych, które w nim tkwią, otrzymałby w pierwszym zawodzie odsetki wysokości $100a/A$, w drugim zaś $100a/5A$. Równość procentów od kapitału byłaby nadwyrężona. Tymczasem w dzisiejszym ustroju przemysłowym, wobec ruchliwości kapitałów, jest to rzeczą niemożliwą. Wyrównanie odsetek musi więc nastąpić, dzieje się zaś to z uszczerbkiem wartości abstrakcyjnej. Przedsiębiorca jeden musi stale sprzedawać poniżej rzeczywistej wartości, drugi zaś powyżej. Przytoczony przykład jest dzisiaj powszechnie obowiązującą zasadą. Każdy zawód odznacza się odmiennym stosunkiem kapitału stałego i zmiennego, tj. spoczywającego w maszynach i materyale, oraz idącego na płacę, tak samo, jak odmienną stopę tak zwanej pracy dodatkowej. To znaczy, że przy sprzedaży dawana cena zawsze odbiega od wartości abstrakcyjnej.

Jak tarcie powietrza sprawia, że spadek ciał rzeczywisty różni się mniej lub więcej od wyprowadzonego w teoryi przez Galileusza, tak samo warunki społeczne, wśród których odbywa się wymiana, oddziaływają na to stosowanie, w jakim stopniu wartość abstrakcyjna i cena odbiegają od siebie. Podczas epoki rzemieślniczej zdarza się to wyjątkowo, i tylko pod wpływem niezrównoważenia się podaży i zapotrzebowania. Tymczasem w okresie wielkiego przemysłu, niezgodność owa staje się zasadą. Kapitał powinien dawać wszędzie te same odsetki, to zaś sprawia, że pewne zawody muszą brać za towar mniej, inne zaś więcej, niż się należy.

K. R. Ż.

O PRAWDĘ.

W 18-ym numerze *Prawdy* („Pamiętnik") pomieszczono artykuł pod tytułem „Świadectwo niedojrzałości," traktujący o ostatniem ogólnem zebraniu i stosunkach Towarzystwa pracowników handlowych; pozwolisz więc, Szanowny Redaktorze, że Cię poproszę o łaskawe pomieszczenie w łamach Twego pisma poniższego sprostowania dla wyświetlenia prawdy.

Starsi Zgromadzenia kupców m. Warszawy, chcąc poniekąd złagodzić w nieszczęśliwych wypadkach dolę pracowników handlowych, zorganizowali w roku 1829 tak zwaną Delegacyę Subjektów, której uczestnicy, płacąc składkę roczną rs. 2, korzystali z rekomendacyi w braku pracy, oraz z pomocy lekarskiej, apteki i szpitala w razie choroby. Instytucya ta przetrwała do roku 1885, w którym zamienioną została na Towarzystwo wzajemnej pomocy subjektów handlowych i przemysłowych m. Warszawy. Do tego Towarzystwa w roku 1885 czy 6, o ile mnie pamięć nie myli, wprowadził jeden z członków zarządu pierwszą kobietę z prawem korzystania ze wszystkich przywilejów przewidzianych ustawą. Pierwszy ten krok zyskał ogólne zadowolenie uczestników instytucyi i od tej chwili, aczkolwiek bardzo powoli, liczba kobiet corocznie wzrasta; dziś liczymy ich 75 na ogólną liczbę 1,710 członków.

Przed trzema laty dla ułatwienia kontroli i pośrednictwa w sprawach kobiecych zaproszono trzy panie, które miały zbierać opinie o nowo zapisujących się kandydatkach i sprawdzać materyalne warunki chorych, a potrzebujących pomocy członkiń. Liczba ta ze względu na ilość zupełnie wystarczała, ale, niestety! Gdzie u nas niema względów osobistych, dla których poświęcić jesteśmy gotowi wszystkie, chociażby najświętsze idee dobra społecznego. Otóż dla jednej, a żądnej odznaczenia z trzech wyżej wymienionych pań nie wystarczała czynność bez tytułu; zapragnęła więc miana przewodniczącej, a powodowany kawalerską galanteryą ówczesny zarząd uległ i przedstawił ogólnemu zebraniu do zatwierdzenia wniosek utworzenia specyalnego komitetu damskiego z przewodniczącą na czele. Nie pomogły protesty i tłómaczenia, że kwestya ta dotyczy wyłącznie zarządu, który, jak się to dotąd praktykowało, ma zupełną swobodę powoływania danej i dowolnej liczby członków, czy członkiń do pomocy w załatwianiu swych czynności administracyjnych, że żądający nieprzewidzianego ustawą zatwierdzenia tego wniosku mogą rozczłonkować Towarzystwo na wiele specyalnych działów, jak: dysponentów, buchhalterów, kasyerów, wojażerów, ekspedyentów itp. Wniosek, poparty silnym naciskiem zarządu, przeszedł.

Na ogólnem zebraniu r. b. z dziwnym na pozór spotykamy się objawem: oto p. Stefan Krall, aczkolwiek człowiek młody, jednakże praktycznie zapatrujący się na rozwój i sprawy Towarzystwa, i p. Edward Grosser, człowiek poważny, cieszący się ogólną sympatyą i były prezes tejże instytucyi, przedstawiają dwa identyczne, choć różnie brzmiące projekty rozwiązania rok zaledwie istniejącego komitetu damskiego. Wiadomo, że łatwiej napisać projekt, niż go obronić wymownie wobec kilkuset słuchaczów, kilkunastu pań i pod presyą przewodniczącego, który co chwila nagli mówcę, powtarzając: „streszczaj się pan" — „nie mamy czasu" itd. Obrona przeto wniosków i powodów ich napisania wyszła niejasno i dla ogółu słuchaczów niezrozumiale. Wówczas zabiera głos członek zarządu, p. Piotrowski, stając w obronie Komitetu Damskiego półgodzinnem odczytaniem nieprzygotowanego referatu, zawierającego frazesy na temat, że kobieta trudnymi warunkami bytu zmuszoną została i na polu handlowem szukać pracy, o czem wszyscy wiemy i nikt jej nie myślał przeszkadzać. Pragnąc sprostować błędnie wytoczone pretensye i zażalenia i położyć koniec tej bądź co bądź drażliwej kwestyi, poprosiłem o głos; dano go naprzód p. mecenasowi Krajewskiemu, który w bardzo pięknej przemowie wzywał obie strony do wykazania dodatnich lub ujemnych wpływów komitetu na rozwój instytucyi. Zarząd jednakże nie mógł wykazać dodatnich, a wnioskodawcy doświadczywszy już przyjemności przerywanej mowy, wahali się z wystąpieniem. Korzystając z przysługującej mi kolei i wtajemniczony poniekąd w powody, zniewalające projektodawców do zredagowania dyskutowanych wniosków, zabrałem głos, traktując kwestyę bezstronnie. Niektórzy członkowie zarządu, czując się dotkniętymi prawdą, chętnie pod korcem chowaną, z werwą godną poważniejszej sprawy przerwali mi mowę i tem bezwzględnem traktowaniem swobody słowa doprowadzili do takiego rozgoryczenia uczestników ogólnego zebrania, że ci bez żadnej dalszej dyskusyi znaczną większością rozwiązanie Komitetu Damskiego zdecydowali, co oby było nauką w przyszłości, że nie trzeba nigdy zapominać przysłowia „Nie noś dla tabakiery, lecz tabakiera dla nosa."

Myli się autor artykułu w ostatnim numerze *Prawdy*, twierdząc, „że p. Edward Grosser spostrzegłszy swój błąd," cofnął poparcie wniosku p. Kralla, sam bowiem w formie przez Towarzystwo przyjętej złożył swój referat zarządowi na dwa tygodnie przed ogólnem zebraniem a cofnął go dopiero wtedy, gdy się przekonał, że większość skłania się do przyjęcia wniosku p. Kralla.

Obaj ci panowie, pisząc swoje referaty, innymi powodowali się względami, o których pomimo zadrukowania znacznej już ilości papieru, nikt dotąd stanowczego zdania nie wypowiedział; bo gdy koteryę, ograniczanie wejścia na zabawy, wierszowane satyry o komitecie balotującym, walka kobiety przeciw kobiecie i niebywałe dotąd zajścia w lokalu, pomiędzy członkami zarządu i wydziałów, jako owoce tego właśnie początkującego zaledwie komitetu, słusznie upoważniły p. Kralla do postawienia swego wniosku, to daleko sięgające i jasno wyrażone zamiary na przyszłość jednej z członkiń w kolumnach *Bluszczu* wpłynęły podobnież na p. Grossera

Kobieta, rzekomo słabsza, a rzeczywiście silniejsza przedstawicielka rodu ludzkiego — czego najlepiej dowodzi obecny spór 75-ciu przeciw 1,635 — wchodząc do Towarzystwa została przyjętą, jak to już zaznaczyłem ogólną sympatyą uczestników, przyznano jej wszystkie prawa i przywileje przewidywane ustawą, a mianowicie: korzystania z wydziału rekomendacyi pracy w braku zajęcia, z wydziału wsparć i zapomóg w razie choroby jej lub jej rodziny, z wydziału pożyczek w razie kłopotów materyalnych, z biblioteki, gdy zapragnie poważnie myśleć, z wydziału zebrań towarzyskich. Korzystania z tych dobrodziejstw nikt nigdy jej nie odmawiał, nie odmawia i odmawiać nie będzie, a że nie chcą dopuścić jej wpływu na zarząd, rozwój i przyszłe losy korporacyi, o to niech nasze współuczestniczki nie obwiniają pp. Krallów i Grosserów, gdyż to ograniczenie przewidzieli już i zastrzegli prawdopodobnie historycznymi nauczeni faktami redaktorzy naszej ustawy. *Hier liegt der Hund begraben.*

Władysław Schmaltz.

S Ą D.



Taki stosunek i zachowanie się naczelnika policyi radomskiej względem mieszkańców miasta, oddanego mu pod opiekę, doprowadziło do tego, iż tylko zmuszeni gwałtowną potrzebą odważali się osobiście zwracać do policmajstra z jakim ważnym interesem; w większości bowiem wypadków używano pośrednictwa przychylnie widzianych i cieszących się sympatyą policmajstra, znanych osobistości w Radomiu: szynkarza Szamsi Blatta oraz muzykanta Joska Chwata. Te dwie osobistości, stanowiące, według słów strażnika ziemskiego, Grzegorza Kowtuna, wraz z policmajstrem „jedną duszę," korzystały ze szczególnego zaufania Kiryczenki. Mieli oni do niego wolny wstęp w każdej chwili; wpływ ich i starania odnosiły zawsze pożądany skutek. Otrzymywali rozmaite przywileje, których nadawanie przekraczało niekiedy granice władzy policmajstra. Blatt i Chwat jawnie opowiadali wszędzie o swoich wpływach.

Znajdujący się w doskonałym punkcie miasta szynk Blatta, wbrew istniejącym przepisom, na mocy pozwolenia policmajstra, zawsze otwarty był do godz. 2-ej w nocy, gdy tymczasem inne obowiązkowo zamykano o 10-ej wieczorem.

Pragnąc wyzyskać położenie, nie zadawalając się nadanym mu przywilejem, Blatt bezkarnie handlował noc całą w szynku i dawał schronienie podejrzanym ludziom. Ze strażników, którzy spisywali raport o przekroczenie prawa, śmiał się i wyrzucał ich z szynku.

W r. 1892 policmajster zobowiązał wszystkich obywateli Radomia do zaprowadzenia na domach i zabudowaniach gospodarskich tablic z blachy cynkowej, większe z nazwiskami właścicieli i numerami domów, średnie dla domków stróżów i ustępów, oraz małe z numerami dla

oddzielnych mieszkań; monopol na wyłączną sprzedaż dał optykowi radomskiemu, Lejzerowi Brylantowi, który w tym celu zawiązał spółkę z bratem rodzonym szynkarza, H. Blattem, i innemi osobami.

Niezwłocznie, pod odpowiedzialnością sądową, zalecił policmajster, aby wszyscy właściciele kupowali rzeczone tablice jedynie u Brylanta, w cenie rubli 5, 7, a nawet 10 za komplet, złożony z tablicy dużej, 2 średnich i około 10 małych. Fachowcom zaś miejscowym którzy zwrócili się do Kiryczenki z ofertą dostarczania takiego kompletu po rs. 3, surowo zabronił przyjmowania tego rodzaju zamówień. Zalcbergowi, który na swoje ryzyko odlał 10 pudów takich tablic, wszystkie zaaresztował.

W kwietniu 1894 r. Kir. wydał rozporządzenie zaprowadzenia w Radomiu jednakowych flag do wywieszania w dnie galowe. Jakkolwiek wmyśl Najwyższego rozporządzenia, ogłoszonego w nr. 45 ust. p. 1883 r., ubierać miasto wolno zwykłemi flagami z trzech kolorowych pasów, bez żadnych ozdób, policmajster zamówił w fabryce Tobjasza w Łodzi uprzywilejowane nowego typu flagi z inicyałami i specyalnym okólnikiem, rozesłanym do wszystkich obywateli miasta, nakazał kupować je w terminie do d. 27 kwietnia. Zanim wyszło powyższe rozporządzenie, optyk Lejzor Brylant i szynkarz Blatt zawarli umowy z fabrykantem Tobiaszem w Łodzi na wyłączne pośrednictwo w sprzedaży flag w Radomiu, skutkiem czego Brylant poumieszczał natychmiast na ulicach ogłoszenia, zatwierdzone przez policmajstra.

Kupiec L. Gutstadt nabył w fabryce Tobiasza za pośrednictwem trzeciej osoby na sprzedaż sto flag. Wskutek wmieszania się Brylanta i Blatta w tę sprawę, Kir. skonfiskował flagi i zwrócił je Gutstadtowi wówczas, kiedy minął termin, obowiązujący obywateli do kupowania flag nowego wzoru. Mieszkańcy więc zmuszeni byli kupować flagi tylko u Brylanta po oznaczonej cenie. Wszystkim, którzyby nie chcieli spełnić tego rozporządzenia, groził spisaniem protokółu i pociągnięciem do odpowiedzialności, a lakiernikom, którzyby odważyli się przyjmować zamówienia na flagi, groził pozbawieniem raz na zawsze prawa zajmowania się robotą. Tłomaczył przytem, że na wzór flagi fabryki tobiaszowskiej potrzeba specyalnej „cenzury."

Kiedy cena zwyczajnej flagi wynosiła 90 k., za flagi nowego wzoru z fabryki Tobiasza, Brylant i Blatt kazali płacić po 2 rs. 50 k. mniejsze i po 4 rs. większe; był to materyał lichy i nietrwały. Brylant prowadził listę kupujących i na czynione mu uwagi co do zbyt wygórowanej ceny, odpowiadał, że sprzedaż prowadzi pod kontrolą rotmistrza Kiryczenki.

Policmajster zaprowadził taki system, iż muzykanci, pragnący grać po weselach żydowskich, na wieczorach, zebraniach i zabawach wogóle, obowiązani byli przedtem otrzymać jego pozwolenie, z którego raz na zawsze korzystał jeden tylko w Radomiu właściciel orkiestry, Josek Chwat; zarazem udzielał on lekcyj gry na skrzypcach policmajstrowi oraz jego synowi.

Inni zmuszeni byli dla kawałka chleba zwracać się do Joska Chwata, który za wynagrodzenie pieniężne odstępował im przywileju i pozwolenia, wydanego na swoje nazwisko przez policmajstra. Nie spotykając żadnej konkurencyi, Chwat ustanawiał dowolnie zapłatę za swoje ustępstwo, tych zaś, którzyby śmieli naruszać jego monopol, prześladował, będąc silnie popierany. Lejbie Radomskiemu Chwat groził wydaleniem z miasta za to, że wezwał z rozporządzenia naczelnika miejscowej dywizyi orkiestrę wojskową na uroczystość wniesienia „rodału" do synagogi.

Żonie muzykanta Glinkiewicza, na prośby jej, aby pozwolono grywać mężowi przez litość nad nią i jej dziećmi, których jedyną podporą jest ojciec, zarabiający grą na skrzypcach, Kiryczenko odpowiedział: „zdechnij razem z dziećmi."

Dalej akt oskarżenia zaznacza, iż policmajster tamował ruch handlowy na „Wale," nie pozwalał tam zatrzymywać się wozom, przyjeżdżającym ze wsi. Dopiero gdy kupcy za pośrednictwem Blatta ofiarowali Kiryczence 500 rs., nie tamowano tego ruchu. Po upływie jednak 6-ciu miesięcy powtórnie policya zaczęła spędzać z Wału włościan. Po ofiarowaniu 50 rs. policmajstrowi znowu przywrócono dawną swobodę. Następnie akt oskarżenia przytacza listę restauratorów, których Kiryczenko napastował, to znowu czynił im ustępstwa za datki w różnych postaciach. W początkach stycznia r. 1894 oskarżony wezwał do siebie dzierżawcę Kurtza i zamówił kolacyę dla gości na 40 osób za sto rubli. Spotkawszy się nazajutrz z restauratorem, rzekł: „Dziękuję panu; kolacya doskonała!" To była zapłata. Od tego czasu ustały pretensye strażników o późne zamykanie restauracyi.

W r. 1893-im policya poruszyła sprawę kryminalną, wytoczoną przeciwko Aleksandrowi Hertlowi i Bolesławowi Skrzyńskiemu, właścicielom składów materyałów aptecznych, o znieważenie czynne strażników i opór władzy. Kiedy sprawę skierowano już do sądu, po mieście zaczęły krążyć pogłoski, że policya czyni starania o wydalenie oskarżonych z miasta drogą administracyjną. Nie mogąc sprawdzić źródła tych pogłosek, a podejrzewając prosty szantaż, Hertel, dla uwolnienia się od prześladowań, dał 200 rs. policmajstrowi przez trzecią osobę; od tej chwili pogłoski umilkły.

Kiryczenkę bronił adwokat przysięgły z Warszawy, Jan Maurycy Kamiński, Szamsia Blatta — p. Władysław Silnicki, adwokat radomski, Joska Chwata — p. Jan Stankowski, Warłamowa i Głowackiego, oskarżonego o branie łapówek za wydawanie paszportów, z urzędu bronił p. Leśniewski. Wyrok zapadł następujący:

Kiryczenko skazany na osiem miesięcy więzienia bez pozbawienia praw.

Warłamow, po pozbawieniu wszelkich praw, na 8 miesięcy rot aresztanckich.

Głowacki na usunięcie ze służby i 10 rs. kary.

Blatt na pozbawienie szczególnych praw i 8 miesięcy rot aresztanckich.

Chwat na trzy miesiące więzienia.

Koszty sądowe obciążają solidarnie wszystkich oskarżonych.

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Część kotlarzów warszawskich stara się o założenie własnego cechu pod nazwą: „Warszawski cech majstrów wyrobów kotlarskich z żelaza."

— Pozwolono czynszownikom prawosławnym w kraju Zachodnim zaciągać pożyczki i wykupywać grunty użytkowane.

— W Poznaniu wkrótce otwarty będzie żłobek, czyli t. zw. krypta dla dziatwy ubogiej, pozostawionej przez rodziców, zajętych pracą całodzienną.

— *Nowości* donoszą, iż po wprowadzeniu nowej ustawy łowieckiej polowania wiosenne będą powsze[illegible] zupełnie zabronione.

— Położono nacisk na potrzebę stworzenia „Instytutu buchhalterów przysięgłych." Będzie on posiadał radę w Petersburgu i komitety w innych miastach.

— W *Zbiorze praw* ogłoszono, że w gub. Wileńskiej, Grodzieńskiej i Kowieńskiej włościanie wyznania katolickiego, życzący sobie budować krzyże przydrożne z materyału trwałego, winni uprzednio wyjednywać za pośrednictwem miejscowego proboszcza odpowiednie pozwolenia rządu gubernialnego. Do petycyi trzeba dołączyć rysunki. Niestosujący się do tego przepisu, pociągani będą do odpowiedzialności.

Szkoły. Rada państwa przyjęła projekt utworzenia w Moskwie Instytutu inżenierów.

— Dla gimnazyów żeńskich ustanowiono medale złote i srebrne, tak samo jak w męzkich.

— R. 1900 w Tomsku otwarty będzie instytut technologiczny.

— *Neue Doerpsche Ztng* pisze. „Jak się dowiadujemy, z rozporządzenia p. ministra oświaty 9) farmaceutów uniwersytetu tutejszego wykluczono z liczby słuchaczów i wysłano z miasta." Wiadomość ta — piszą [illegible] *Wiedom.* — pozostaje prawdopodobnie w związku z zaburzeniami, wywołanemi przez farmaceutów w Instytucie prof. Kondakowa. *Rižsk. Wiest.* dodaje, iż prócz tego wydalono 7 medyków, którzy brali udział w manifestacyi.

— W Krakowie powstaje szkoła dla dorosłych, nieumiejących czytać. Nauka bezpłatna.

— *Wołyń* dowiaduje się ze źródła wiarogodnego, że wycieczki uczniów zakładów naukowych średnich za granicę uznano za niepożądane i z tego powodu proponowana przez dyrektora gimnazyum żytomierskiego wycieczka zagraniczna z uczniami wyższych klas zakładu nie odbędzie się wcale.

— Rada państwa rozstrzyga projekt reformy politechniki w Rydze.

— Towarzystwo rolnicze kijowskie postanowiło otworzyć pierwszą w państwie szkołę hodowli ptactwa.

— W warszawskiej szkole felczerów egzaminy na stopień felczera odbędą się 20 maja w Instytucie anatomicznym.

— W Krakowie artysta-malarz, W. Wodzinowski otworzył prywatną szkołę rysunku i malarstwa dla kobiet.

— Szkoła przemysłu artystycznego, prowadzona przez p. Ireneę Kotarbińską w Krakowie, rozwija się pomyślnie. Wydział krajowy przyznał jej zapo-[illegible].

— *Now. Wr.* donosi, że minister oświaty zalecił uniwersytetom, żeby rozpoznały sprawę wprowadzenia na wydziały prawne obszerniejszego kursu medycyny sądowej niż obecny.

Zdrowie publiczne. Komisye sanitarne dokonały w ciągu tygodnia 1,119 rewizyj domów, mieszkań robotników, fabryk, warsztatów, mykw, chederów, domów modlitwy itp. w Warszawie. Sporządzono protokuły dla pociągnięcia za ważniejsze przekroczenia do odpowiedzialności sądowej 12 osób. Jednocześnie sędziowie pokoju skazali za nieporządki zdrowotne 11 osób na grzywny w ogólnej sumie 103 rs.

Sądy. *Warsz. Dniewn.* dowiaduje się ze źródła wiarogodnego, że urząd prokuratorski, niezadowolony z wyroku w sprawie Kiryczenki i jego wspólwinnych, zamierza tę sprawę przenieść do senatu rządzącego.

Dobroczynność. Gazety amerykańskie donoszą, że przebywający obecnie w Stanach Zjednoczonych Paderewski ofiarował 10,000 dolarów na fundacyę swego imienia dla muzyków miejscowych. Procenty od tego kapitału będą rozdawane co lat trzy w formie nagród. Szczęśliwi obcy!

Wystawy i zjazdy. W Krakowie otwarto wystawę kwiatów.

— Od 15 sierpnia do 15 września w Pradze czeskiej otwarta będzie wystawa aptekarska.

— W połowie czerwca w Insbrucku otwarta będzie międzynarodowa wystawa z zakresu sportu, rozwoju ciała i pielęgnowania zdrowia. Między innemi reprezentowany będzie wspaniały zbiór wzorowych urządzeń szkolnych.

Zmarli. Józef Sikorski, w Warszawie, były długoletni redaktor *Gazety Polskiej*, a następnie *Ruchu muzycznego*. Należał do założycieli Towarzystwa muzycznego w Warszawie. Pisywał niegdyś artykuły krytyczne w *Gazecie Codziennej* i *Bibliotece Warszawskiej*. Oddawna wycofał się z dziennikarstwa. Uprawiał muzykę; pozostawił kilka kompozycyj i „Dorecznik muzyczny." Był właścicielem drukarni i piastował godność dyrektora Towarzystwa jedwabniczego. Żył lat 83.

— Henryk Geffken, w Monachium: sławny bohater procesu politycznego i zażarty przeciwnik Bismarcka. Ogłosił drukiem wyrywkami pamiętnik cesarza Fryderyka.

Odpowiedzi Redakcyi.

A. I. silh. Wiersz Pani ma znaczenie czysto osobiste.

X. X. *Studentowi.* Pod wyrazem „zwyrodnienie" rozumieć należy wszelkie zboczenia (fizyczne lub duchowe) od typu uważanego przez naukę za normalny. Stopy sześciopalczaste lub uszy przyrośnięte od strony policzka są niewątpliwie odchyleniami się organizmu od normy, ale czy takie i tym podobne objawy należy uważać za dowody zwyrodnienia, postępującego stale śród ludzkości, oraz czy można z nich wnosić o współrzędnych stanach zwyrodnienia psychicznego, jest to inna kwestya, którą zwła-

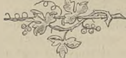
szcza Lombroso rozstrzyga w sposób dziwnie powierzchowny i prawie bezmyślny. Trudno byłoby dziś znaleźć drugiego badacza, któryby swoje dzieła szył równie pośpiesznym i niedbałym ściegiem, któryby tak zestawiał fakty obok siebie bez żadnej troski o ich rzetelność, znaczenie i wzajemny stosunek. Książki Lombrosa są torbami lichych anegdot, ułamków naiwnej statystyki i twierdzeń niepowiązanych żadną nicią logiczną.

M. Z. Z nadesłanego przekładu nie skorzystamy, zaznaczając przytem, że wiersz w rytmice jest częstokroć wadliwy. Wątpimy bardzo, ażeby zbiór tłómaczeń z utworów tego poety znalazł nakładcę. Koszt wydania zależy od papieru, druku, ilości egzemplarzy itd.; mniej więcej około 15 rs. arkusz. „Obraz" wychodzi zeszytami, cena w prenumeracie rs. 6, z przesyłką rs. 7 (dla płacących odrazu rubla taniej).

Zdzisławowi w L. Ból bezprzyczynowy, rozpacz nieusprawiedliwiona, gromy klątew nieokreślonych — wszystko może złożyć się na frazeologię, ale nie tworzy poezyi. Jeżeli ktoś zapewnia, że ma serce zranione, a nie powiada czem, to nikogo nie wzruszy. Cierpienia bezimienne wydają dźwięki puste.

Staremu przyjacielowi. Proszę przysłać, w miarę możności przeczytamy.

Sprostowanie. W nr. 18, w sprawozdaniu z „Quo vadis" na str. 211, szp. 3, wiersz 8 od dołu, zamiast *odpychającego*, powinno być: *oddychającego*.



Redaktor i wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава 25 Апрѣля 1896 г. Druk K. Kowalewskiego. Warszawa ul. Mazowiecka, Nr. 8.